

● PROGRAM TELEWIZYJNY NA TYDZIEŃ

● A. Chorążyna dla „Relacji” ● J. J. Szczepański ● Afera w „Transmocie” ● W królewskich Tyszowcach ● Ile bierze doktor? ● Parczew: musztarda po obiedzie ● Ormianie polscy ● Kara za patriotyzm

PL ISSN 0660-8830

TYGODNIK
WSCHODNI

relacje

LUBLIN, 7-13 12. 1989 R.

NR 47

CENA 300 ZŁ

W SFERZE SZYKAN I PRZEMOCY

Rozmowa z Anną Chorążyną, przewodniczącą Rady Naczelnej Polskiego Stronnictwa Ludowego

— Przez kilka dziesięcioleci była pani postacią-legendą dla starszego pokolenia chłopów i działaczy ludowych: członek władz naczelnych Ludowego Związku Kobiet oraz PSL, tak haniebnie potem rozbitego przez komunistów. Przed kilkoma miesiącami powiedziała pani w RWE, że chętnie powróci i pomoże w odradzaniu tamtej partii chłopskiej. A następnie wybrano panią przewodniczącą Rady Naczelnej PSL. Bardzo udany come back!

— Wróciłam aby pomóc, ale nie rzucić. Na marzec planowany jest kongres zjednoczeniowy ruchu ludowego. Jeżeli tam dojdzie do zgody i połączenia wszystkich nurtów pod hasłami agraryzmu PSL, moja rolę uznaję chyba za zakończoną. Mam 76 lat. Wiedzieć, kiedy odejść, wycofać się, to ważna rzecz...

— Na spotkaniu z lubelskimi ludźcami mówiono o pani jako o kraince. Poproszę o szczegóły.

— Wychowałam się w chełmskim Świerszczowie, gimnazjum kończyłam w Lublinie, u Urszulanek. W czasie okupacji pracowałam w Bychawie. Była to niby szkoła zawodowa, ale uczyliśmy tam przedmiotów przez okupanta zakazanych. Mało kto wie, że w Bychawie ukrywała się wraz z synem, pod fałszywym nazwiskiem Ignasiak, żona Stanisława Mikołajczyka. Zostali jednak aresztowani. Syna udało nam się wykupić za ogromne pieniądze, ale ją zesłano do Oświęcimia, potem Ravensbrück. Przeżyła, syn mieszka w USA.

— Kim byli pani rodzice?

— Ojciec Maksymilian Bieńkowski był carskim zesłańcem. Po powrocie kupił resztówkę w Ludwinie, potem osiedlił się w Świerszczowie. To wielki społecznik, on zaraził mnie ideą pracy społecznej na rzecz chłopstwa.

— Jak to się zaczęło?

— Już na studiach w SGGW. Zaczęło się od „Wici”. To właśnie „Wici” po raz pierwszy rzuciły hasła agraryz-

mu jako podstawy programu pracy na wsi i dla wsi. Było to w 1933 roku, na zjeździe w Kępie Celejowskiej koło Puław.

— Po wojnie znalazła się pani we władzach naczelnych PSL...

— PSL odrodziło się 15 sierpnia 1945 roku na zjeździe w Wilanowie. Weszłam w skład Rady Naczelnej. Prezesem został Mikołajczyk. Z tamtych władz żyje już tylko troje: ja, generał Kamiński oraz Tadeusz Nowak z Poznania.

— No i zaczęło się...

— Otóż to. Powołano Stronnictwo Ludowe, kryptokomunistyczne narzędzie PPR. Komuniści umacniali swoją władzę i przez trzy lata zwlekali z wyborami. Byli w rażącej i niepopularnej mniejszości, wiedzieli, że przegrają każde demokratyczne wybory. Stworzono tak zwany Rząd Jedności Narodowej, w którym Mikołajczyk został drugim premierem i ministrem rolnictwa, ale szybko zdobyli tam przewagę liczebną komuniści oraz ich satelici. Zaczęły się wypróbowane metody — skrytobójcze mordy, jak np. zabójstwo Ścibiorka czy Kojdera z władz naczelnych PSL. W sumie zamordowano 160 osób.

Pierwszą generalną próbą sił było tzw. referendum. Społeczeństwo miało odpowiedzieć na trzy złączone sformułowane pytania: czy jesteś za zniesieniem senatu, za granicą na Odrze i Nysie oraz za nacjonalizacją przemysłu i reformą rolną. Każdy Polak powinien był przytaknąć trzy razy, niejako legitymizując nową rzeczywistość. PSL postanowiło zaznaczyć swoją odrębność i negatywnie odpowiedzieć na pierwsze pytanie. Referendum zostało sfalszowane: na pierwsze pytanie rzekomo odpowiedziało „tak” aż 67 proc. głosujących. Ambasady angielska i amerykańska zaprotestowały, ale to nie miało żadnego znaczenia, podobnie jak nie odniosły skutku ich protesty po sfalszowanych wyborach z 1947 roku.

Dokończenie na str. 12-13



Fot. Violetta Krasnowska

GUMOFILCE W KRÓLEWSKICH TYSZOWCACH

relacje

ZE ŚWIATA

● U wybrzeży Malty odbyło się spotkanie Michaiła Gorbaczowa z Georgem Bushem. Maltański szczyt dwóch światowych mocarstw oceniany jest jako najważniejsze spotkanie radziecko-amerykańskie od czasu zakończenia drugiej wojny światowej.

● Pod naciskiem żądań członków Niemieckiej Socjalistycznej Partii Jedności, potępiających dwuznaczną postawę wieloletniego kierownictwa partii z Erichem Honeckerem na czele, ustąpiło Biuro Polityczne i Sekretariat NSPJ. Trzech wysokich funkcjonariuszy partyjnych zostało aresztowanych za nadużycia, a wielu innych usunięto z partii.

● Premier Czechosłowacji Ladislav Adamec powołał nowy rząd, w którym 16 tek otrzymali komuniści. Opozycja nie zgadza się na takie rozwiązanie.

● Rumuński dziennik „Scinteia” opublikował wystąpienie Nicolae Ceausescu podczas spotkania z przewodniczącymi delegacji zagranicznych, które brały udział w XIV Zjeździe Rumuńskiej Partii Komunistycznej. Oto fragment: „Dobrze rozumiemy, że formy socjalistyczne mogą być bardzo różne. Lecz trudno akceptować, że w niektórych państwach trwa wyęziona działalność przeciwko krajom socjalistycznym. Trudno, abyśmy uważali, że to odpowiada interesom socjalizmu [...]. Trudno też zaakceptować, powstała ostatnio w pewnych kręgach ruchu robotniczo-rewolucyjnego, teza, że nie ma różnicy między wolnością w krajach socjalistycznych i kapitalistycznych”.

● „Swoistym symbolem wszechwładzy i bezkarności rumuńskiej milicji są — udokumentowane — przykłady łamania immunitetu dyplomatycznego. Tylko w tym roku agenci Securitate pobili heldzińskiego polityka bedacego w Bukareszcie, noturbowali zachodniemieckiego ambasadora: amerykańskiego dyplomata wciągnęli do milicyjnego samochodu. Umundurowany milicjant, w biały dzień za-

atakował żonę zachodniemieckiego konsula; przewrócił ją na ziemię i kopał” — Maciej Basięwicz, „Tygodnik Kulturalny” nr 49

● Węgierska Partia Socjalistyczna nie wysłała swego przedstawiciela na zjazd rumuńskich komunistów. Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą reprezentował w Bukareszcie tow. Cypryński.

● Prezydium Socjalistycznego Związku Ludu Pracującego Serbii wezwało wszystkie instytucje i przedsiębiorstwa Republiki Serbskiej, do zerwania wszystkich kontaktów ze Słowenią, motywując to tym, iż w republice tej zostały zawieszono prawa i swobody obywatelskie. Odezwę tę ogłoszono w dniu święta narodowego Jugosławii.

● Z końcem roku inflacja wyniosła w Jugosławii 2500 procent. W tempie wzrostu inflacji Jugosławię wyprzedzały tylko Nikaragua i Uganda.

● Londyński Dom Aukcyjny wystawił na sprzedaż gipsową maskę pośmiertną Lenina — jedną z kilku, które wykonano w nocy po śmierci wielkiego wodza rewolucji. Jej cena wyniesie prawdopodobnie 6—8 tys. funtów szterlingów.

● Według obliczeń specjalistów w Związku Radzieckim zarejestrowano 5 mln alkoholików, którzy się leczą. Co roku 20 tys. spośród nich umiera. Liczba dzieci z niedorozwojem umysłowym, będącym następstwem alkoholizmu rodziców, wzrosła z 900 tys. w roku 1983 do 1,1 mln w roku 1988.

● Radziecki historyk Nikolaï Szmiewlow ocenia, że w systemie obozowym NKWD (okres stalinowski) każdego roku wykorzystywano do pracy około 10—15 mln „wrogów ludu” oraz członków ich rodzin, czyli ok. 25 proc. wszystkich zatrudnionych w sferze produkcji materialnej. Dla porównania, w szczytowym okresie rozkwitu niewolniczego Rzymu liczba niewolników nie przekraczała 10—12 mln., a w Grecji 150 tys.

● „Lidove Noviny”, pismo ukazujące się nielegalnie w Czechosłowacji, wyjaśniają, że kontrowersyjna sprawa udziału (ponoć przymusowego) Gustava Husaka w skompletowanej przez Niemców delegacji, zawieszono na oględziny masowych grobów, dotyczyła

nie Katynia, lecz Winnicy. Sprawa tych grobów, kryjących pomordowanych Żydów, jest do dziś niejasna.

● Zdaniem izraelskiego premiera Icchaka Szamira, potencjalne zjednoczenie Niemiec stanowi dla Żydów śmiertelne zagrożenie.

● Węgierski tygodnik „Hitl” zamieścił skrót memorandum członków mniejszości węgierskiej w Czechosłowacji. Z dokumentu wynika, że w w CSRS żyje około 600 tys. Węgrów. W 1950 roku mieli oni jeszcze 609 własnych szkół podstawowych. Od tego czasu zamknięto 345 placówek. Istnieją tylko 22 szkoły średnie, w których językiem nauczania jest węgierski. Ta sytuacja powoduje, że do 14 roku życia ok. 30 proc. węgierskich dzieci nie ma możliwości uczenia się we własnym języku, natomiast między 14 a 18 rokiem już 60 proc. Tylko 1,6 proc. Węgrów żyjących w Słowacji posiada dyplom uniwersytecki.

● W KRLD już o godzinie 14 oddało głosy 100 proc. uprawnionych do głosowania w wyborach samorządowych. Oficjalna agencja prasowa pisze, że „wybory wykazały wysoki stopień zapału rewolucyjnego, zademonstrowali niezwykłą moc narodu zjednoczonego wokół wielkiego przywódcy Kim Ir Sena, wykazując przewagę ustroju socjalistycznego”.

● „Nie jestem prorokiem, ale jak powiedział papież, ponowne odkrycie Chrystusa przez Wschód będzie miało ważne następstwa dla całego świata” — powiedział kardynał Joseph Ratzinger.

● Dziennik „Zemedsko Zname” podał, iż tyśiąć chłopów z wioski Górna Kremena uczestniczyło w manifestacji popierającej wniosek regionalnego komitetu Bułgarskiej Partii Komunistycznej w Michajłowgradzie o zrehabilitowanie Iwana Todorowa-Goruni, który cieszył się w tym regionie ogromną popularnością i szacunkiem. W 1965 roku, będąc członkiem KC BPK, zorganizował w Sofii spisek, którego uczestnicy chcieli usunąć od władzy Todora Żiwkowa. Spisek został wykryty, a Todorow-Gorunia — jak podawano w owym czasie — popełnił samobójstwo tuż przed momentem swego aresztowania.

● Z wypowiedzi Tomasza Wołka o „Gazecie Wyborczej”, zamieszczonej w miesięczniku księży pallotynów „Królowa Apostołów”: „W kampanii oszczerstw i dezinformacji prym wiedzy, niestety »Gazeta Wyborcza«, która miała być pismem »demokratycznej opozycji«, ale jest pismem jednej tylko orientacji. Dla ludzi spoza układu lewicowego organ Adama Michnika nie ma pardonu”.

● W trakcie obrad sejmowej komisji kultury, w których uczestniczył prezes Radiokomitetu Andrzej Drajewicz, poseł Aleksander Małachowski uznał poziom programów nowej redakcji religijnej za „dowód wyjątkowej cierpliwości Pana Boga”.

● „Jako człowiek wierzący i należący do Kościoła katolickiego, ostatnio znów zostałem postawiony przez prymasa w głupiej sytuacji. Z chwilą, gdy stał się on patronem odrodzonej endecji, czyli stronnictwa nazwanego Zjednoczeniem Narodowo-Chrześcijańskim, znaleźliśmy się — ja i ksiądz prymas — w całkiem innych obozach ideowych. Jeżeli traktuje kardynała Glempa jako głowę, a zatem urzędowy autorytet Kościoła katolickiego w Polsce, to zarazem kardynała Glempa — przywódcę czy też duchowego patrona odrodzonej partii endeckiej — muszę uznać za politycznego przeciwnika” — Ireneusz Krzemiński, socjolog („Przegląd Wiadomości Agencyjnych”, nr 45).

● W Katedrze Gnieźnieńskiej zapoczątkowano proces beatyfikacyjny kardynała Stefana Wyszyńskiego.

● „Karuzela stanowisk» to przecież wzbogacanie doświadczeń polityka, inwestowanie w niego pod kątem przyszłych potrzeb. Współczesne cywilizowane państwo powinno wszechstronnie kształcić swoje kadry. Wielu krytykuje mnie, w łonie mojej partii, za przeszkakowanie ze stanowiska na stanowisko, ale ja z oskarżeń czynię cnotę” — powiedział nowo mianowany ambasador Polski w ZSRR, Stanisław Ciosek w wywiadzie dla „Przeglądu Tygodniowego”.

(Z.D.)

D O naszych południowych sąsiadów mam dużo sympatii. Czytać — praktycznie rzecz biorąc — nauczyłem się nie na elementarzu (w którym były jeszcze wiersze o J. Stalinie, B. Bierucie, F. Dzierżyńskim i innych świętych Komunistów), lecz na „Przygodach dobrego wojaka Szwejka”. Później, a była to już druga połowa lat sześćdziesiątych, przyszło zauroczenie Hrabalem, Formanem, Papouškiem. Czuło było ciepły wiatr wiejący z południa. A wtedy miał on smak nadziei w bardzo przecież stęchłej, przasniano-nacjonalistycznej i bełkotliwo-ideologicznej atmosferze gomulkowskijskiej Pol. ski.

No i zaczęło się. Wybuchła „praska wiosna”. Witana przez młodzież w PRL z zadoleniem, iż coś się wreszcie zaczęło, zazdrością (zwłaszcza po marcu), że to nie u nas, oraz niepokojem, czy to może się udać. Czy system, w którym żyjemy, jest reformowalny? Czy też już na zawsze tonąć będziemy w „oceanie kłódur i Himalajach nonsensu”.

Nie wszyscy cieszyli się ze zmian w Czechosłowacji: ze zniesienia cenzury, z wolności słowa, reform rynkowych Otty Šika, odkłamywania historii. „Spokój, bo pójdziecie na Czechów” — mawiano w pierwszej połowie 1968 roku w Studium Wojskowym, i grozy dowcipowi nie odbierało to, że — rzecz jasna

9 i 10 listopada br. gościliśmy w Lublinie Jana Józefa Szczepańskiego, znakomitego pisarza, prezesa Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, wielki autorytet moralny wśród ludzi pióra.

Oto, co powiedział, dzieląc się refleksjami na temat totalitaryzmu w auli Wydziału Prawa UMCS (9.11.89. godz. 17.00):

K AŻDE z minionych stuleci ma swoją specyfikę, charakteryzuje się takimi a nie innymi osiągnięciami. Nasz wiek będzie znany raczej ze swoich grzechów niż zdołaczy. Skutki totalitaryzmu w swojej doniosłości przeważają wszystkie inne zdołczy tego nieszczonego stulecia.

Bardzo często myli się totalitaryzm z tyranją, dyktaturą; to błąd metodologiczny. Dyktatury istniały od zarania cywilizacji, jednak nigdy nie uzyskiwały takich cech, jakimi charakteryzują się ustroje totalitarne. Do tej pory nie została podjęta próba całościowego zanalizowania tego zjawiska, dlatego wiek XX powinien zostawić — chociażby w formie ostrzeżenia — zarówno analizę, jak i ocenę.

Zastanówmy się nad charakterystycznymi cechami totalitaryzmów.

1. W przeciwieństwie do dyktatur posiadają pewien rodzaj filozofii, na której opierają praktykę. Wyróżnikiem jest to, że ideologia traktowana jest jako jedyna, a odstępstwo od niej równoznaczne jest z popełnieniem zbrodni.

2. Drugą cechą charakterystyczną jest monopartia. Ona jest czynnikiem rządzącym i też jedynym.

3. Jednostkowe kierownictwo; to, co po upadku Stalina nazwano kultem jednostki.

4. Podniesienie ksenofobii do rangi zasady etycznej — wszystko, co nie podlega tej reglamentacji, jest uosobieniem wrogich sił (spiskowa teoria dziejów), np. Żydzi, masoni, demokracje zachodnie. Cała maszyna ustawiona, jest na walkę z owymi siłami — totalitarne ustroje potrzebują walki jako sposobu manewrowania masami ludzkimi. W konsekwencji: stworzenie takiej psychocy wymaga uzasadnień historycznych, przerabia się więc historię wstecz, żeby dawała argumenty.

Najlepiej totalitaryzm został charakteryzowany przez wyśkrabawienia, np. literaturę określoną mianem antyutopii. Trzy najciekawsze książki z tej grupy to „My” — Zamiatana, „Nowy, wspaniały świat” — Huxleya i chyba najbardziej wartościowy „Rok 1984” — Orwella, który jest rodzajem monografii współczesnego, dojrzałego totalitaryzmu.

Należy zwrócić uwagę na dwie, powtarzające się w każdym typie tych ustrojów sprawy: — ambicje proklamowania, wychowania, stworzenia nowego człowieka, ponieważ każdy ruch totalitarny staje w opozycji do tego, co było przedtem. Dawny człowiek nie nadaje się do nowej wizji, trzeba więc stworzyć nowego;

relacje

Z KRAJU

● „— Niechętni nowemu rządowi, a i nie tylko oni, posądzają premiera o ciągłości germanofilskie, krąży już nawet powiedzenie, że tak jak Konrad Mazowiecki sprowadził nam w 1228 roku Krzyżaków, tak Tadeusz Mazowiecki szykuje podobne nieszczeście, że teraz »Niemcy nas wykupią”.

— To oczywiście bzdura, ale stanowi przykład atakowania rządu nie wprost, lecz przy pomocy »obszarów zastępczych“. Resentymenty antyniemieckie są u nas bardzo silne, wszak metoda takiego kanalizowania uczuć społecznych ma ponad 40-letnią tradycję [...] — fragment wywiadu z Mieczysławem Pszonem, pełnomocnikiem premiera T. Mazowieckiego do rozmów z przedstawicielami kanclerza RFN („Polityka” nr 48).

● W liście gratulacyjnym, skierowanym do premiera Tadeusza Mazowieckiego, Edward Gierek pisze m.in.: „Cieszę się, że wreszcie mamy nasz własny, z woli narodu powołany i wole wyrażający, katolicki rząd w Polsce”.

● Do księgarń dociera już, przygotowana przez Agencję Omnipress w 100-tysięcznym nakładzie, książka Teresy Toruńskiej, „Oni”, dotychczas dostępna tylko w drugim obiegu. Jest to zapis rozmów z ludźmi, którzy wprowadzili w Polskę komunizm w wersji stalinowskiej. Rozmówcami T. Toruńskiej byli m.in. Edward Ochab, Leon Chajni, Julia Mincowa, Jakub Berman.

● W Koszalinie odsłonięto Pomnik Ofiar Bolszewizmu.

● W „Gazecie Poznańskiej” Gabriela Rembisz, członkini Biura Politycznego KC PZPR, wyznaje: „Ani ja, ani reszta członków partii nie miała pojęcia o Katyniu, o zbrodniach politycznych lat powojennych, o podłożu 17 września 1939 roku”.

● W Wojsku Polskim służy 156 generałów. Oznacza to, że jeden generał

przypada u nas na około 2,5 tys. żołnierzy. Dla porównania, w RFN i Belgii na ok. 2200 żołnierzy, w Stanach Zjednoczonych na 2000, w Wielkiej Brytanii na 1500, w Danii na 1000. Najwięcej bo aż jeden generał na 752 żołnierzy, przypada w NRD.

● Tworzący swe zręby Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Funkcjonariuszy MO spotkał się z nieprzychylnym przyjęciem ze strony Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, które uznało, że z przyczyn formalnych niemożliwe jest jego działanie.

● Z oświadczenia Biura Politycznego KC PZPR: „Biuro Polityczne KC PZPR wyraża stanowczy sprzeciw wobec inicjatywy grupy posłów proponujących Sejmowi zniesienie Święta Odrodzenia Polski — 22 lipca. Jest to zamiar zasługujący na jednoznaczne potępienie. Uraza patriotyczne uczucia milionów Polaków”.

● Z ogólnej ilości wszystkich zbiorów, wynoszącej ok. 200 mln. ton, marnujemy rocznie 5 mln ton ziemniaków, ok. 600 tys. do miliona ton zbóż, ok. miliona ton buraków cukrowych, 400 tys. ton warzyw i 200 tys. ton owoców.

● Polska wieś starzeje się. Dziś żyje tam 14650 tys. osób, o 250 tys. mniej niż w 1977 r. W wieku powyżej 60 lat jest 17 proc. mieszkańców (2 proc. więcej). O 3 proc. mniej jest młodzieży w wieku 15—24 lat, a młodych kobiet o ponad 4 proc. mniej niż młodych mężczyzn.

● Do listopada tego roku budżet państwa dołożył do górnictwa 2,3 biliona złotych. Urobek węgla na jednego zatrudnionego w Polsce górnika równa się połowie urobku uzyskiwanego — w porównywalnych kopalniach — w W. Brytanii.

● „Sztandar Młodych” pisze, że z projektu deklaracji przyjętej podczas obrad Komitetu Wykonawczego OPZZ usunięte zostało zdanie: „Czynem i moralnym poparciem będziemy wspierać wysiłki rządu służące poprawie Rzeczypospolitej”.

CZECH I SŁOWAK GONIAŁ LECHA I RUSA

Michał Zieliński

— wiedzieliśmy, iż to, co nam grozi, to ćwiczenia poligonowe na lubelskim poligonie. [— — —] (Ustawa z dn. 31 VII 1981. O kontroli publikacji i widowisk, art. 2, pkt. 5 (Dz. U. nr 20, poz. 99; zm.: 1983, Dz. U. nr 44, poz. 204)). Groźba interwencji wisiała w powietrzu, z tego zdawali sobie sprawę wszyscy. I stało się. W sierpniu 1968 roku „sojusznicze armie” udzieliły „braterskiej pomocy”. Niestety, był też Hradec Kralove i polska jego okupacja.

A przecież reformy czeskie były bardzo ostrożne i w niczym nie naruszały podstaw systemu. Przeciwnie, tylko one mogły jeszcze tchnąć nieco życia w zaskorupiałe, dogmatyczne rozwiązania gospodarcze i społeczne. Nie wiemy, co by się stało, gdyby wtedy powstał „sojalizm z ludzką twarzą”. Jak potoczy-

łyby się dalej krajów na wschód od żelaznej kurtyny? Jakże rozwiązania systemowe przyniosłaby dalsza ewolucja wydarzeń? Wiemy natomiast, że interwencja w CSRS i koniec „praskiej wiosny” były zarazem faktycznym początkiem końca socjalistycznej iluzji, zapoczątkowując ruch, który za cel stawiał sobie już nie reformę socjalizmu, a powrót do normalnej demokracji i normalnej gospodarki.

Zapewne nie ma czego żałować. Zapewne w długookresowym bilansie, tak będzie lepiej. Zapewne i tak wcześniej czy później, do tego samego by doszło. Szkoda jednak, iż nie stało się to normalną pokojową i ewolucyjną drogą, na której różne poglądy i różne rozwiązania ścierałyby się w sejmie, na rynku, w prasie itd. Szkoda zmarnowanych lat, zmarnowanego wysiłku i nie-

potrzebnych tragedii ludzkich, po obydwu stronach barykady zresztą.

Szkoda również, że tak bolesną zadną na stosunkach polsko-czechosłowackich położyła się, druga przecież w ciągu trzydziestu lat, inwazja polskiego żołnierza. Nie mogą dziwić się niechęci, jaką wielu Czechów i wielu Słowaków żywi za to do nas. Mogę jedynie prosić o wybaczenie i mieć nadzieję, iż czas oraz wspólny los krajów Europy Środkowej rany te zablizni. Dlatego z radością odnotowuję każdy przejaw tego, że tak się dzieje.

Nasz południowy sąsiad, po dwudziestu latach stanu wojennego, jaki zaplanował tam w następstwie zdławienia „praskiej wiosny” (prawda, że był on od strony ekonomicznej dość komfortowy), wkroczył na drogę ku demokracji. Posuwa się po niej z szybkością „ry-

chlika” (tak bracia Czesi określają pociąg pospieszny). Czeski plakat, reprodukowany w „Gazecie Wyborczej”, który anonuje: „Polsko — 10 lat, Madaroko — 10 mes, DDR — 10 tydni, CSSR — 10 dni”, jest — jak na razie — prawdą, samą prawdą i tylko prawdą.

Wybuch demokracji jest jak pęknięcie lodów po długiej i mroźnej zimie — może być niebezpieczny. Musi — i na to rady chyba nie ma — wiązać się z odreagowaniem wszystkich urazów, żalów i pretensji. Zapewne będzie i tak, że na fali tego odreagowania pojawiają się także postawy nacjonalistyczne. Zapewne odgrzeją się także (co więcej, przypuszczam, iż będą świadomie odgrzewane — nie tak nie kanalizuje niezadowolona wewnętrzna jak korzystny wróg zewnętrzny) nastroje antypolskie. Co gorsza — w odróżnieniu od antypolskiej psychozy w NRD — będą one, choć częściowo, uzasadnione.

Mam jednak nadzieję, że Czesi, Słowacy (i ci Morawianie, którzy upierają się przy tym, iż są odmiennym narodem) znajdują w sobie dość siły woli i politycznego rozumu, aby nastroje takie okiełznać. Jest bowiem w naszym najlepszym politycznym, ekonomicznym, kulturalnym i wszelkim innym interesie, aby narody tak bliskie językiem, historią i położeniem geograficznym jak najbliższej ze sobą współpracowały.

— powoływanie się na wolę mas. Wszystkie te reżimy dochodzą do władzy przez przewroty wojskowe lub są narzucone z zewnątrz, i nie posiadają szerokiej bazy społecznej. Są to grupy mniejszościowe, które zgłaszają pretensje do wyrażania woli całego społeczeństwa. Jest to bardzo wygodne, dlatego że masa jest liczebnie niezidentyfikowanym odłamem społeczeństwa — nikt masy nie liczy, nikt z nią nie rozmawia. Jedynym jej głosem były hasła skandowane na wiecach.

Pamiętam taki okres w pierwszych latach PRL, kiedy człowiek czuł, że jest poza marginesem. Wmówiono mu, że to, co uważa za swoje wartości, jest przeżytkiem dawnego wychowania,

Rządząca mniejszość w szybkim czasie przestaje być grupą ideową, a staje się uprzywilejowaną. Kiedy ukazuje się szczeliny w owej całościowej konstrukcji, kiedy ludzie przestają się bać, zaczyna się ona sypać i musi rozsypać się do końca. Totalitaryzm nie potrafi się obronić nawet przeciw częściowej utracie wpływów.

Jedną z technik przedłużania informacji jest wychowanie młodzieży. We wszystkich krajach totalitarnych powstaje mit młodości. Młodość jest odpowiednio tresowana od najmłodszych etapów szkolenia — militaryzowana, mundurowana; brunatne koszule, szturmówki itp. Stworzenie etosu studenta, który w pewnym okresie życia jest niezwykle atrakcyjny dla dzieci

starannie pewne formy kultury ludowej, jak rękodzieło, pracownie trudniące się wyrobem strojów ludowych itd. Kultura stała się jakby jednym z elementów życia estradowego: jest celi, zespoły „Słask” i „Mazowsze”, z prawdziwą sztuką ludową nie mające nic wspólnego.

Pod koniec czasów stalinowskich oglądałem wystawę rzeźby ludowej w Nowym Targu. Ta rzeźba zawsze była tworzona według bardzo starych kanonów. Ministerstwo Kultury i Sztuki postanowiło, że świątkarzy trzeba doszkolić, zorganizowano w Bielsku Białej kurs, podsunęto nowe tematy, jak żołnierz, traktorzysta. Efekty tej pracy oglądałem w Nowym Targu, i tam powtarzającym się motywem był

JAN JÓZEF SZCZEPAŃSKI W LUBLINIE

Adam W. Kulik

że masy myślą inaczej i on, inteligent, będzie zepchnięty na boczny tor przez ducha dziejów. Głębokim wstrząsem były dla mnie wydarzenia poznańskie — myśmy byli skłonni uwierzyć, że jesteśmy poza marginesem. W maju 56 roku nagle masy przemówiły i okazało się, że myślą tak samo jak my — to był wielki szok uzdrowicielski.

Ale jak powstały hermetyczne przedziały, sytuacja, że ludzie o sobie nie wiedzieli? Otóż wynika to z techniki rządzenia. Istniały pewne sposoby komunikowania się pewnych intelektualistów z masami: pisarze jeździli do wielkich zakładów pracy, czytali wiersz czy parę, otrzymywali goździki, poza tym nie wiedzieli o nic. Kiedyś po takim spektaklu dowiedziałem się, że bramy zakładu zostały zamknięte, aby ludzie nie uciekli od pisarza.

Reżimy totalitarne tworzą rzeczywistość fikcyjną, poza oficjalnym systemem wszystko w rzeczywistości dzieje się, tyle że nielegalnie. Jeżeli w 68 roku studenci krzyczeli: „Prasa kłamie”, to był to protest przeciw korzeniom tego systemu. Wystarczy wziąć do ręki podręczniki historii, niektóre obowiązujące do dziś, żeby się przekonać, ile usumieniło poza mawias społeczną świadomości. Na zjeździe pisarzy w Katowicach Andrzej Braun upomniał się o wojnę 20—21 roku, Katiń i ustami ówczesnego wojewody katowickiego został napiętnowany jako agent CIA. W latach 50. taka scena nie byłaby możliwa, poziom strachu był tak wysoki, że nikt by się nie zdobył na to co Braun. Przez całe dziesięciolecie żyliśmy w stanie częściowej amnezji, pewne rzeczy działy się poza systemem komunikacji — to jest jeden z symptomów totalitaryzmu.

(chłopcy bawią się w wojsko), musi jednak kończyć się jakąś perspektywą. Kiedyś zabawa przecież się kończy. Tutaj perspektywą jest kariera aparaturczyka, bezwonnego wykonawcy i wreszcie okazuje się, że siła, która prowadzi te ruchy, są starcy. Dramatycznym przykładem tego są wydarzenia w Pekinie, kiedy oligarchia starców każe strzelać do młodych, kiedy ci się budzą.

Istnieją zasadnicze różnice pomiędzy różnymi nurtami tych ruchów: sytuacja w Iranie epoki Chomeiniego, w przeciwieństwie do stalinizmu czy hitlerizmu, oparta jest na tradycji religijnej. Wspólną zasadą natomiast jest ideologia wprowadzona w życie jako polityka. W Iranie religia stała się obowiązującą ideologią, stąd terror, cenzura, monopartia, spiskowa teoria dziejów.

Każdy z tych systemów tworzy swój język (u nas tzw. nowomowa). Te ustroje nie mogą posługiwać się normalnym językiem dlatego, że tworząc fikcję, muszą używać takiego, który ją potwierdza, czyli kłamstwa. Jest to zjawisko olbrzymie i już przez naukę starannie badane. Język nie ogranicza się do korupcji i semantycznej słów, obejmuje również symbole. Szalenie trudno przejść z tego narzecza na język normalny, nawet w drugim obiegu łatwo można wskazać pewne figury retoryczne, sformułowania należące do nowomowy.

Z językiem wiąże się sprawa propagandy i w dalszej konsekwencji kultury, która, według reżimu, należy do propagandy. Efektem tej przynależności jest eliminacja całych działów kultury. Mówi się, że kultura socjalistyczna sięga do źródeł kultury ludowej. Otóż zostały zniszczone bardzo

Lenin frasośliwy — nie udało się wykorzenić kanonu całkowicie.

Poświęćmy kilka słów religii. W zasadzie reżimy totalitarne są głęboko antyreligijne, nie dlatego, że same pretendują do nowoczesności eliminującej starego człowieka. W rzeczywistości chodzi o wyeliminowanie środków oddziaływania na społeczeństwo, jest to walka bardziej z instytucją niż z myślą.

W sferze gospodarki ruchy totalitarne chcą być samowystarczalne, starają się uniezależnić od „wrogich systemów”. W dzisiejszym świecie żaden kraj nie potrafi odciąć się od reszty, to powoduje konieczność ekspansji, chodzi o zdobywanie nowej siły roboczej, niewolniczej — co też jest charakterystyczne. Taka sytuacja rodzi agresję, dlatego dylemat, masło czy armaty, rozstrzygnięty jest na korzyść armat. Kontynuowanie tego typu gospodarki w dzisiejszym świecie jest niemożliwe — nastąpiło całkowite jej załamanie. Powstała rysa w monolicie, która musi doprowadzić do całkowitego upadku system lub jego przekształcenia.

Zasad antyindywidualizmu czy kolektywizmu ekonomicznego bądź psychicznego nie da się utrzymywać na dłuższą metę dlatego, że jesteśmy tak a nie inaczej zaprogramowani przez Naturę. Nawet w Kambodży, gdzie wymordowano jedną trzecią narodu, dając do stworzenia nowego człowieka, to się nie udało. Z kwestiami wierności, suwerenności, demokracji związane są nierozłącznie prawa człowieka. Bez tego świat nie może funkcjonować normalnie. Jest to prawda, którą odkrywamy. Mam nadzieję, że jeszcze nie jest za późno.

Z PYTAŃ i odpowiedzi na nie Jana Józefa Szczepańskiego przytoczę — moim zdaniem — najbardziej interesujące.

— Istniejemy pomiędzy dwoma państwami, od których wiele wycierpieliśmy. Kto, pańskim zdaniem, ponosi odpowiedzialność za to, co się u nas stało: Hitler i Stalin czy też narody niemiecki i rosyjski, bo przecież były to państwa suwerenne. Według mnie, nie można całą winą obarczać przywódców, narody też miały w tym udział.

J. J. Sz.: — Jest rzeczą ryzykowną ferowanie takich wyroków. Przed wojną niewiele wiedzieliśmy o granicach naszej odporności psychicznej i fizycznej. Niektóre narody rzeczywiście uległy w większym stopniu presji, ale jak to wymierzyć? Będąc w Moskwie, zostałem zaproszony do domu tłumaczki mojej książki — opowiedziała mi historię swojej rodziny: rodzice zginęli w łagrach, jej mąż siedział w więzieniach. Miała powody, żeby zniechęcić system, ale opowiedziała swoją reakcją na wiadomość o śmierci Stalina, co działało się wówczas w Moskwie. Olbrzymie tłumy wyległy na ulice, tratowały się, płakały, i ja też płakałam. „Lubiła pani Stalina?” — zapytałem. „Nienawidziłam go”. „Więc dlaczego pani płakała?”. „Bo wszyscy to robili!”

Totalitaryzm może doprowadzić do aberracji umysłowej, dziś obozy jawią się jako działalność szaleńców, nagle okazuje się, że ich już nie ma. Skazano pewną liczbę oprawców, ale ilu jeszcze żyje? Ekshumowane szczątki na Stulewcu nie wzięły się znikąd: ktoś do więźniów strzelał, wywoził i zakopywał w workach. Ci ludzie są z nami. Czy to zwyrodniały? Nie. Po prostu stworzono system, w którym to było możliwe. Nie potrafię tego wytłumaczyć, stwierdzam fakt, że totalitaryzm dysponuje technikami doprowadzającymi do aberracji umysłowej. Na szczęście to kiedyś się kończy; szaleństwo, które przyzywał XX wiek, kończy się. Nasi następcy z uzasadnionym obrzydzeniem będą mogli patrzeć na wiek XX.

— Czy totalitaryzm stanowi zagrożenie dla literatury polskiej, czy to należy już do przeszłości?

J. J. Sz.: — Jako inspiracja, mam nadzieję, należy do przeszłości. Natomiast jego skutki będziemy długo odczuwać. Literatura płynie na zasadzie swoistych fal — są okresy lepsze i gorsze. Sądzę, że totalitaryzm uszkodził jakąś tkankę — mamy mało ciekawych debiutów. Literatura została skompromitowana, trzeba czasu, żeby się zregenerowała i wymierzyła sprawiedliwość temu okresowi.

— Bardzo pięknie wyłożył pan refleksje na temat totalitaryzmu, powołując się na tradycję wielkiej literatury europejskiej (Orwell, Huxley, Za-

Dokończenie na str. 14

PREZES odszedł, ale niesmak pozostał — usłyszałam w spółdzielni „Transmot”.

To było jeszcze przed wakacjami. Do redakcji przyszedł mężczyzna, który ze wzburzeniem zaczął opowiadać o tym, co dzieje się w lubelskiej spółdzielni „Transmot”. Niedługo potem „Kurier Lubelski” doniósł o „aferce” w tej spółdzielni, polegającej na protekcyjnej sprzedaży opon samochodowych i innych części deficytowych, którą to milicja nakryła, że tak powiem, na gorąco.

Udałam się do „Transmotu”. Już pierwsze rozmowy z zatrudnionymi w spółdzielni ludźmi odwróciły moją uwagę od oponowej „aferki”, w sprawie której akurat milicja prowadziła dochodzenie, a Izba Skarbowa kontrolę. Co innego było ważniejsze. Coraz wyraźniej zaczęły mi się bowiem rysować mechanizmy władzy i zarządzania, układy, koneksje i prywaty, których istnienie jest tylko możliwe w takim chorym systemie jak polska rzeczywistość. Decydowanie i odpowiedzialność — w tym przypadku, jak w wielu jemu podobnych — te dwie rzeczy, właściwie spójne, rozeszły się bezpowrotnie. Bo wciąż jeszcze kto inny decyduje, a kto inny odpowiada.

26 lutego 1985 roku pan S. został prezesem spółdzielni „Transmot”. Po latach fakt ten jawi mi się w dwóch barwach: białej i czarnej.

— Egzekutywa Komitetu Miejskiego PZPR udzieliła mi rekomendacji partyjnej — wspomina pan S. — a do spółdzielni wprowadzał mnie bezpośrednio prezes „Transpedu”, pełniący funkcję członka Krajowej Rady Centralnego Związku Spółdzielni Transportowo-Motoryzacyjnych, późniejszy „ojciec opatrnościowy” naszej spółdzielni. Niestety, przez tydzień drzwi mojego gabinetu były zamknięte, bowiem nikt nie mógł znaleźć do nich klucza, który zabrała prawdopodobnie poprzednia prezeska. Po tygodniu włamał się tam komisyjnie. Tak to „przyjmowałem” się do spółdzielni. Teraz zarzucają mi, że prezesowanie zacząłem od malowania i urządzania gabinetu. Ale tam był po prostu brud. Moi zastępcy przyjęli mnie niechętnie i powinienem był to wziąć wtedy pod rozwagę. Tym bardziej, że wydarzył się incydent...

— Jedną z pierwszych osób, poza sekretarką — dowiaduję się podczas rozmowy w zarządzie spółdzielni — którą prezes S. „ściągnął” za sobą z poprzedniej pracy, był pan P., którego obsadził na stanowisku kierownika zakładu nr 1. Do spółdzielni zaczęły napływać informacje, że obydwojcie panowie byli zamieszani w POSiCZu w jakąś aferę.

— Rzeczywiście w POSiCZu było nadużycie — mówi prezes S. — ale w Polsce nie ma odpowiedzialności zbiorowej. Z przedstawicielami Rady Nadzorczej udałem się więc do Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych, by się osobiście dowiedzieli, czy byłem w kręgu podejrzanych. Nie byłem. A więc było to pomówienie. Machnąłem ręką i incydent ten puściłem w niepamięć.

W listopadzie 1982 r. pan S. objął funkcję głównego specjalisty do spraw usług w Przedsiębiorstwie Obrotu Samochodami i Częściami Zamiennymi w Lublinie. Podlegała mu bezpośrednio stacja obsługi klienta. Na stanowisku zastępcy kierownika tej stacji pan S. obsadził P.

Rozmawiam z szefową działu kontroli wewnętrznej w POSiCZu:

— Podczas jednej z kontroli nasunęły mi się podejrzenia, że kasjerka z biura obsługi klienta inkasowała gotówkę, ale nie odprowadzała jej do kasy głównej przedsiębiorstwa, a rozpisywała na tzw. roboty w toku, wykonywane klientom na stacji. W maju 84 roku dyrektor naczelny zlecił przeprowadzenie gruntownej kontroli biura i stacji. Nadużycia były ewidentne. Do zakładu wkroczyła milicja. Kasjerka została aresztowana. Zapytałam ją, dla czego to robiła. Usłyszałam: „Ja nic nie powiem. Chciałam tylko dalej tu

pracować. Ja tych pieniędzy nie wzięłam”.

Akt oskarżenia objął kilka osób. Wśród nich znalazł się również P. Ale główną oskarżoną była kasjerka.

Prokurator zarzucił kasjerce, że od października 1982 r. do 31 maja 1984 r. pobrała z kasy i przywłaszczyła sobie gotówkę w wysokości 3 989 129 zł.

W aktach sprawy jest protokół z konfrontacji kasjerki z pracownikiem stacji, w którym to protokole kasjerka stwierdza: „J.G. często pobierał pieniądze za usługi biura obsługi klienta i przetrzymywał u siebie w biurku... Raz pobrał kwotę 100 000 zł i ja wiedziałam o tym, że trzymał je przez kilka dni w biurku... Po pewnym czasie dowiedziałam się, że trzymał te pieniądze na polecenie szefa S. i wpłacił je do kasy po kilku dniach od zgłoszenia o tym kierownikowi P. Przed świętami w 1983 r. otrzymałam od G. depozyt w większą gotówką, którą pozostawiłam w kasie z zaznaczeniem na banderoli, że jest to depozyt na zlecenie szefa S.”

26 maja 1989 roku w Sądzie Wojewódzkim w Lublinie zapadł wyrok uznający kasjerkę winną zarzucanego jej czynu i skazujący ją na karę 3 lat i 6 miesięcy pozbawienia wolności. Kierownika P. sąd uniewinnił.

— Kiedy mieliśmy już pełne wyniki kontroli — usłyszałam w POSiCZu — zebrała się Rada Pracownicza przedsiębiorstwa, by je przeanalizować

im tego nie wytykałem, ale wylapywałem, że mi podawały niewłaściwe dane. Kiedy główna księgowa poszła na urlop wychowawczy, ściągnąłem do pracy panią M. To była maszyna do roboty i lojalna w stosunku do mnie. Zrobiliśmy ją czwartym członkiem zarządu. Teraz przy decydowaniu było dwa na dwa, a wiadomo, że prezes ma głos ostateczny. Tym sposobem przeformowałem zamysł założenia sklepu z częściami samochodowymi. Już w kilka miesięcy po jego otwarciu sklep przynosił, w przeliczeniu na liczbę zatrudnionych pracowników, kilkakrotnie większy zysk niż cały zakład nr 1.

— Rada Nadzorcza spółdzielni też nie była przychylnie do mnie ustosunkowana. Zgłaszałem radzie fakt, że źle mi się współpracuje z moimi zastępcami, ale rada stawiała się coraz bardziej nieprzyjazna dla mnie, aż doszło do tego, że do rady wybrany został skład, który mnie po prostu nie tolerował.

— Pana S. jako nowego prezesa przyjęliśmy z pełnym zaufaniem — usłyszałam w zarządzie spółdzielni — tym bardziej, że rozwijał wspaniałe wizje funkcjonowania spółdzielni. Spółdzielnia istnieje od 40 lat, więc wprowadziliśmy go we wszystkie nasze u-

całą sprawę nagral kierownik zakładu na Kalinowszczyźnie. Ale stawiał warunek, że sklep będzie podlegał pod jego zakład.

— W zakładzie na Kalinowszczyźnie — dowiaduję się w zarządzie spółdzielni — robione były „przekładki” nadwozi. Prezes S. ciągle tam przesiadywał i był w ścisłej komitywie z kierownikiem. Po odejściu prezesa S. zwolniliśmy również kierownika tamtego zakładu, który po prostu źle pracował, a cierpiała na tym tylko załoga.

Jedno z wyjaśnień prezesa S., złożone podczas kontroli Izby Skarbowej:

„Istotnie zarząd przyjął decyzję wymiany nadwozia fiata 126p z puli zakupionych bezpośrednio od producenta. Ob. K. to pracownik FSC — jeden z najbardziej zasłużonych współpracowników naszej spółdzielni. Brak oceny technicznej był zarządowi znany... Zarząd, mając jednak na uwadze dobro współpracy z FSC, zdecydował j.w.”

— Kiedy na wiosnę tego roku — mówi pan S. — odeszła z pracy główna księgowa, odpadł mi jeden głos w zarządzie. No i wyszły pazury moich opo-

DZIELIŁ I RZĄDZIŁ W „TRANSMOCIE”

Izabella Wlazłowska

i odpowiedzieć na pytanie: „kto winien”? Rada postanowiła wnioskować do dyrektora naczelnego o zdjęcie ze stanowisk ludzi, mających nadzór nad pracownikami, którymi zajął się prokurator. Wystąpiła też z wnioskiem o odwołanie ze stanowiska głównego specjalisty ds. usług. Najpierw pan S. zachorował, a później wystąpił z propozycją, że opuści nasze przedsiębiorstwo na zasadzie porozumienia między zakładami. Spółdzielnia „Transmot” wystąpiła do nas z pismem, że chce go zatrudnić na stanowisku prezesa. No i odszedł od nas na wyższe stanowisko. Zaraz też, już jako prezes, wystąpił z pismem o pana P. Nam to było na rękę.

— Płace w spółdzielni były żenująco niskie, zaopatrzenie beznadziejne, a ludzie pracowali w prymitywnych warunkach — mówi pan S. — Zacząłem więc dźwigać spółdzielnię. Wykorzystywałem swoje znajomości w różnych jednostkach, by spółdzielnię lepiej zaopatrzyć w części zamienne, a tym samym, by stacje obsługi miały robotę. „Przebiejałem się” w Komitecie Miejskim PZPR i u wiceprezydenta miasta, aż wreszcie po ciężkich bojach odkupiliśmy pomieszczenia przy ul. Północnej od „Stilany” i przenieśliśmy tam zakład nr 2, bo teren, na którym zakład mieścił się do tej pory, oddawany był pod Aleję Gomułki. Usprawniłem pracę w zakładach. We wszystkich wskaźnikach spółdzielnia zaczęła wykazywać tendencje wzrastające.

— Ale bardziej dogadywałem się z kierownikami zakładów, niż z moimi zastępcami, którzy byli w opozycji do mnie. Żeby coś zrobić w spółdzielni, trzeba uzyskać zgodę zarządu. Odniosłem też wrażenie, że zarówno główna księgowa, jak i jej zastępczyni są nieszczerze w stosunku do mnie. Ja

klady. Ale on zaczął je wykorzystywać dla siebie, a nie dla spółdzielni. Wiadomo, że nadwozia samochodowe, ogumienie, a i wiele innych części, to towary deficytowe. Kto nimi dysponował, był silny.

— Pan S. twierdzi, że zastępcy go nie tolerowali. Wszyscy? Proszę pani, przecież podczas jego pracy zmieniło się tu trzech zastępców do spraw technicznych. Nowatorska działalność pana S. sprowadzała się do tego, że np. chciał w ten sposób zmienić strukturę organizacyjną spółdzielni, by w efekcie nie podlegał mu żaden pion. Chciał tylko rządzić, dzielić i nie odpowiadać.

— W kwietniu tego roku odbyło się w spółdzielni Walne Zgromadzenie Członków, na którym przeprowadzono wybory na delegata na zjazd CZSTM i na członka Rady Krajowej CZSTM. Poprzednio na obydwie te funkcje wybrany był prezes S. Ale wówczas głosowano jawnie. Teraz zarządzane było głosowanie tajne. No i prezes na żadną z tych funkcji nie załapał się. Niedługo potem Rada Nadzorcza zażądała na piśmie od prezesa wyjaśnienia w sprawie protekcyjnej sprzedaży opon i części samochodowych. Chyba dla prezesa S. stało się jasnym, że nie będzie już wodził ludzi za nos i że skończyła się jego „sila przebicia”.

— Wszystko robiłem dla spółdzielni — kontynuuje pan S. — a załoga napisała na mnie jakieś 5—6 anonimów do NIK, KW i KC PZPR. Chciałem uruchomić drugi sklep z częściami samochodowymi. Był już nawet lokal, bo

zycjonistów. Przegłosowywali mnie. Musiałem odejść. Czuję się przegrany. Żał mi tylko tych ludzi, których „ściągnąłem” tam do pracy i którzy natychmiast brani są pod lupę i pod pręgierz „starej ekipy”. Mają do mnie żal, że ich tak zostawiłem — bezbronnych. Bo te rekiny są bezwzględne.

31 sierpnia br. Izba Skarbowa powiadomiła Rejonowy Urząd Spraw Wewnętrznych w Lublinie o wynikach kontroli przeprowadzonej w spółdzielni „Transmot”.

Fragment protokołu z kontroli: „Ustalono, że w dn. 17—20 lipca 89 r. bezpośrednio z magazynu na polecenie prezesa spółdzielni dokonano sprzedaży różnych części samochodowych i opon odbiorcom indywidualnym za gotówkę wartości 979 720 zł. Po dokonaniu sprzedaży tych części wystawiono dowody wydania tych towarów dla sklepu prowadzonego przez spółdzielnię, pomimo że sklep w tym czasie był nieczynny, a załoga przebywała na urlopie. Powyższe ustalenia wskazują na prowadzenie sterowanej sprzedaży części samochodowych dla wybranych osób bezpośrednio z magazynu z pominięciem sklepu”.

Wyjaśnienie prezesa S. w tej sprawie: „[...] Wydałem prawdopodobnie dwa polecenia ob. R., pracownikowi zakładu nr 1, w sprawie sprzedania przez sklep dla prawdopodobnie dwóch

GUMOFILCE W KRÓLEWSKICH TYSZOWCACH

Violetta Krasnowska

MIMO drugiej połowy września, dzień zapowiadał się iście zimowy. Rano chwycił niewielki przymrozek, a ciężkie, sine chmury zapowiadały rychły śnieg. Nikomu jednak w Tyszowcach nie w głowie było rozglądanie się po niebie. Tego dnia bowiem, 22 września 1947 roku, do Tyszowiec miał zjechać nie byle jaki gość.

Mieszkańcy już do dawna czynili przygotowania na jego przyjęcie. Wszak znakomitemu gościowi należało zgotować godne powitanie. Niewielka orkiestra ćwiczyła po stodółach, młodzi chłopcy czyszili konie i siodła, by pełnić w tym dniu honorową straż przyboczną. Przy drogach wjazdowych postawiono bramy triumfalne. Na każdej, w centralnym miejscu, wisiał portret Jana Kilińskiego i para butów tyszowieckich — symbol i chluba miasteczka. Na każdej widniał napis: „Witamy Cię arcybiskupa — szewcy”.

Buty patriotyczne

Pięć wieków temu właśnie szewcom tyszowieckim miał ponoć sam król Jagiełło wydać polecenie uszycia 10 tysięcy par butów na wojnę z Krzyżakami. Królewskie przywileje, zezwalające po wsze czasy na garbowanie skór i szycie butów, były później potwierdzane przez kolejnych władców. Ale Tyszowce nie tylko zaopatrywały armię w doskonale, nie przepuszczające wilgoci, ciepłe i wygodne buty. Właśnie tutaj, w 1655 roku zawiązano konfederację zbrojną przeciw Szwedom. Stąd później wyruszano walczyć u boku Sobieskiego i Kościuszki. Tyszowiaczy zawsze stawiali do walki w obronie Rzeczypospolitej. Tyszowiaczy — to znaczy szewcy. Nie było rodziny, nie było niemal chaty, w której nie byłoby szewca. Znajomość tego rzemiosła przekazywano z pokolenia na pokolenie. Tyszowce żyły z butów i z nich słynęły.

Tajemnice zawodowe

Technologia garbowania skór i wyrabiania butów przekazywana była z ojca na syna; okrywano ją wręcz tajemnicą. Metody pracy były takie same jak przed wiekami. Jeszcze czterdzieści lat temu całe rodziny szły w maju do lasu, by zbierać korę dębową, będącą naturalnym garbnikiem. Łamano ją na drobne kawałki, suszono w piecu i specjalnym ubijakiem, zwanym stępą, rozbijano na drobny pył.

Świeżo ściągnięte skóry układano w wyłożony brusami duży dół — żołąd, do którego wlewano stężony roztwór wapna gaszonego. Leżały tam przez dwa tygodnie. Po wyjęciu, skóry przez jeden dzień płukano w pobliskiej rzeczce. Następnie specjalnymi kosami ściągano odmokłą sierść i kawałki mięsa.

Potem przychodziła już kolej na garbowanie. Wkładano skóry do przekadka, który tworzyła ogromna drewniana beczka. Tam skóry moczyły się w roztworze wody i miały z kory dębowej. Nieruszone leżały tak przez dwa tygodnie. Po tym czasie wyjmowano je, płukano i ponownie wkładano do roztworu. Czynność tę powtarzano cztery razy. Po ośmiu tygodniach, gdy cała skóra uzyskiwała już kolor żółtawy, garbowanie było zakończone.

Skóry ponownie płukano w wodzie i suszono. Później skrapiano je wodą i rozciągano, by uzyskać odpowiednią grubość. Następna, najbardziej uciążliwa i długotrwała praca było ugniatanie skóry w dłoniach, tak by była mięsista i delikatna. Rybownicą robiono na skórę tzw. „groszek”. Im lepszy, jednolity „groszek”, tym lepszy kupiec — powiadają. Na koniec pozostawało jedynie poczernienie skóry. Wykorzystywano do tego tzw. koperwas — zbite na miał kamyki, żużel. Taka skóra nadawała się już na doskonałe buty.

Wizyta biskupa Wyszyńskiego

Tego wrześniowego dnia 1947 roku podniecenie udzielało się wszystkim mieszkańcom. Gościa oczekiwano od samego rana. Pięćdziesięciotysięczny tłum zapełnił okolice kościoła. Nagle głośnie okrzyki stojących tuż przy szosie oznajmiły czekającym, że właśnie nadjeżdża.

Biskup ordynariusz Stefan Wyszyński stał w bryczce wyprostowany, z narzuconym na ramiona płaszczem i witał zgromadzonych. Tłum zafalował. Zagrzmięło Te Deum Laudamus. Orkiestra zaczęła grać. W ciżbie stłoczonej tuż przy bryczce Ekscelencji nagle zaczęło się dziać coś dziwnego. Kilka osób wyprzęgło konie z powozu. Po chwili bryczka z zaskoczonym pastierzem uniosła się ponad tłum. Na plecach kilkuna-



Fot. Violetta Krasnowska

stu mężczyzn niesiono ją przez około sto pięćdziesiąt metrów, aż po same drzwi kościoła. Wielu płakało. „Witaliśmy go niemal jak Boga” — wspomina dziś uczestnik uroczystości. Gdy bryczkę postawiono na ziemi, biskup Wyszyński przeszedł jeszcze kawalek, witając się i rozmawiając z ludźmi, aż wszedł do kościoła. Po chwili rozpoczęła się msza święta.

Buty ręcznie sterowane

Z jednej skóry szyci dwie pary butów. Dzielono ją na części: uszyjki, przedniaki, średnie i opółki. Z każdej szyci inny element buta. A szyci tyszowiaci ręcznie. Również ręcznie, na kołowrotkach, kobiety przędły dratwy, które potem nasączano smołą i przetykano grzbietową sierścią dzika. Trudność polegała przede wszystkim na tym, że szyci po lewej stronie, tak by po prawej nigdzie nie było śladu szwu.

Kolejność przyszywania poszczególnych elementów była następująca: najpierw zszywano cholewę, do podeszwy, czyli słupca — przyszwę, a dopiero do niej — cholewę. Gdy już założono knaflę, czyli fleki, lupy z kory lipowej na pięcie, prznicowywano but na prawą stronę, co przy twardej podeszwie było czynnością wymagającą wielkiego wysiłku. Zeby buty nie przepuszczały wilgoci, nasączano je dziegciem. Następnie, by uzyskały należyty fason, naciągano się je na prawidła.

Tyszowiaci szyci tak, że na zmianę nosiło się je raz na lewej, raz na prawej nodze. W ciągu jednego dnia dobry szewc mógł uszyć od trzech do czterech par butów. Tuż po wojnie cena jednej pary równała się cenie metra pszenicy.

Oprócz tradycyjnych tyszowiaców, które najbardziej nadawały się dla chłopów, furmanów, leśniczych z powodu swojej nieforemności, zaczęto po wojnie szyci buty pasowane, chromowe, z cielęcej skórnki. Szyci oficerki, eleganckie pantofelki, męskie kamazse.

Wielka rewizja

Jeszcze nie przebrzmiały echa wizyty Stefana Wyszyńskiego, jeszcze nie uprzątnięto triumfalnych bram wjazdowych, gdy nowa, tym razem dramatyczna wieść rozeszła się po Tyszowcach.

„To była niedziela — wspomina Eugeniusz Sędecki. — Akurat z bratem wychodziliśmy po mszy z kościoła. Byliśmy już na moście, gdy minął nas wojskowy gazik. Nagle zatrzymał się i wysiadł z niego mężczyzna. Patrzył i szedł w naszym kierunku. Poznaliśmy go. Razem służaliśmy w 27 Wołyńskiej Dywizji Armii Krajowej. Przywitaliśmy się serdecznie i oczywiście poszliśmy to nieoczekiwane spotkanie opić do pobliskiej knajpy. Tam, przy wódce powiedział nam, że pracuje w UB i przyjechał do Tyszowiec na rekonesans przed mającą jutro odbyć się wielką rewiz-

ją. Chowajcie skóry, mają przyjechać i wszystko zabrać — powiedział. Po wyjściu z knajpy i pożegnaniu się z kolegą poszliśmy po wsi ostrzec ludzi”.

Niewielu jednak uwierzył braciom Sędeckim. Rok wcześniej zalegalizowano przecież cech szewski. Należało do niego wówczas 136 rzemieślników. Jego założyciele, Józef Zarebski i Stanisław Jaremczuk pokazywali ludziom dokumenty uprawniające do działalności cechu. — To niemożliwe, nie słuchajcie ich — krzykali wymachując koncesją. — Przecież nie mają prawa, nie mogą...

Przyjechali 29 września 1947 roku w nocy. Niektórzy mówią o 15 wozach uzbrojonych po zęby ludzi. Wszystkie samochody przejeżdżały przez bramy z napisem: „Witamy Cię arcybiskupa — szewcy”. — Jego witaliście, to i nas przywitajcie — powiedzieli.

Otoczono całe Tyszowce. Obstawiono wszystkie drogi wjazdowe, wystawiono posterunki przy domach. Część weszła do środka. W milczeniu siadali i czekali świtu, by rozpocząć rewizję. Szli krok w krok za każdym domownikiem. Tej nocy mięt nie mógł niepostrzeżenie oddalić się od swojego domostwa. Przetrasano całe domy, zabierano wszystko — skóry, buty, mięso i wyrzucano na zewnątrz. Wyjmowano skóry z kadzi z wapnem, z przekadków. Ci, którzy uwierzyli w prawo i koncesję, w legalność swojego rzemiosła, utracili tej nocy wszystko, z bogatych szewców stając się biedakami.

„Zrobiono to w odwecie za przyjęcie Wyszyńskiego i po to, by rzucić nas na kolana” — tłumaczy dziś tę rewizję syn szewca Franciszka Dudzińskiego. Wywieziono wówczas z Tyszowiec kilkanaście ciężarowych samochodów wypełnionych po brzegi skórą i butami.

Buty konspiracyjne

Dla tyszowieckich szewców nadszedł czas konspiracji. Mimo zakazu, szyci buty musieli nadal. Jedni dlatego, że było to jedyne źródło ich utrzymania, jedyny fach; inni — wybitni mistrzowie szewscy — bo byli tym nasiąknięci. Zresztą do podziemia zdążyli się już przyzwyczaić, wojna zrobiła swoje. Teraz szyci potajemnie, nocami i nadal wozili na targi. Jeszcze przez wiele lat nekano ich rewizjami. W dni targowe blokowano drogi wjazdowe, zatrzymywano samochody, furmanki, rekwirowano znalezione buty. Wielu z tego powodu odsiadywało kilkumiesięczne wyroki w więzieniu w Lublinie, wielu płaciło grzywny, wysokie jak na tamte czasy, od 300 do 1000 złotych.

Na targi ciągnęli jednak nadal. Omijali główne trakty, przestawali korzystać z komunikacji. Boczny drogami, piechotą chodzili na pobliskie targi do Tomaszowa, Komorowa, Grabowa czy Hrubieszowa. Tyle że i na samych targowiskach roiło się od tajniaków. Dlatego na nogi nakładało się nowe, na sprzedaż przeznaczone buty, pod pazuchą trzymało się stare. I jakoś to szło. Z czasem jednak więcej było strat niż zysków. Coraz mniej było odważnych, coraz więcej szewców rezygnowało. A i popyt na tyszowiaci, a szyci głównie nadal tradycyjne, był coraz mniejszy.

W latach 60. podjęto starania utworzenia w dawnym, nieużywanym młynie garbarni. Bez rezultatu. Dziś jest tam magazyn ziół Herbapolu.

Mimo zakazu jeszcze w latach 70. przyjeżdżali do Tyszowiec ludzie, by zamówić buty. Wszak same — jak twierdzą tyszowieccy szewcy — leczyły reumatyzm. Przyjeżdżali lekarze z Tomaszowa, płacąc za takie buty trzy, cztery tysiące złotych, co wtedy równało się dobrej pensji.

W latach 70. do Franciszka Stelmaszczuka przyjechał osobiście sam wojewoda lubelski, z prośbą o zrobienie butów na polowanie. Syn Stelmaszczuka pamięta, że specjalnie z tego powodu wydano polecenie jednemu z zakładów przemysłowych wykonania kilku nowych szyci.

Szewc chłopem

Powoli szewstwo umierało w Tyszowcach. Nie uczono już dzieci tego rzemiosła, bo i po co? Coraz mniej już szewców żyje. Dziś w Tyszowcach nie tylko nie ma ani jednego człowieka, który chciałby uszyć buty, ale nawet i takiego, co zająłby się ich naprawą.

Syn Józefa Dudzińskiego zdążył nauczyć się fachu od ojca, lecz został elektrykiem, a ponadto wóldarzą na 24 hektarach stawów. Na niewielku strychach poniewierają się jeszcze niepotrzebne już dziś narzędzia. W stodole Dudzińskiego rozsypuje się ostatni przekadek.

Same tyszowiaci zobaczyć dziś trudno. Dziś w Tyszowcach chodzi się wyłącznie w gumofilcach. Mniej wygodne, mniej ciepłe, ale jedyne, jakie chłop może znaleźć na nogi.

Z szewców zrobiono chłopów. Na otarcie łez dano im niewielkie kawałki ziemi. Gospodarstwa malutkie, dwuhektarowe. Trudno dziś powiedzieć, kim są. Dawnymi szewcami czy trochę — rolnikami?...

Ostatnie tyszowiaci

Jan Wołoszyn, najstarszy, 93-letni szewc żyjący w Tyszowcach, wyjmując z komórki parę zdartych, schozonych butów. Mam oto przed sobą słynne tyszowiaci. Delikatnie stawia je na stole. Ostatnie, uszyte przez niego przed czterdziestu laty buty. Przechowuje je jak relikwie.

ORMIANIE POLSCY

Grzegorz Pełczyński

W OKRESIE międzywojennym na ziemiach południowo-wschodniej Polski żyła niewielka grupa ludności nazywana Ormianami polskimi. Aliści byli to Polacy, Polacy ormiańskiego pochodzenia, spolonizowani Ormianie — za takich się uważali i otoczenie akceptowało ich etniczne enuncjacje. Odziedziczona przez nich ormiańskość bynajmniej nie uszczuplała ich nabytej polskości, wręcz przeciwnie: ona ją wzbogacała.

W dawnych czasach przodkowie tychże Ormian byli oczywiście sensu stricto Ormianami, integralną częścią słynnego w świecie i srodze doświadczanego narodu. Na terenach ruskich, włączonych później do Rzeczypospolitej, pojawili się już w XI w. Stopniowo w każdym stuleciu zasiedlali poszczególne miejscowości: Kamieniec Podolski, Lwów, Mohylów, Łuck, Zamość i wiele innych, docierali nawet do Warszawy i Poznania.

Mieszkający w Polsce Ormianie trudnili się głównie kupiectwem i rzemiosłem. To oni w w. XVII przyczynili się znacznie do „orientacji smaku polskiego”. Pod tym określeniem należy rozumieć powszechną niemal wśród szlachty i bogatego mieszczaństwa modę, na rozmaite przedmioty będące specjalnością kultur wschodnich. Ormiański kupcy sprowadzali więc delikatesy: bakalie, wina, tytonie, a ponadto piękne kobierce, klejnoty, pasy, namioty, broń, uprzęż na konie lub też podług orientalnych wzorów wytwarzali je rzemieślnicy. Uzyskana podczas handlowych podróży znajomość Wschodu predysponowała Ormian na dyplomatów i dra-

gomanów. Kiedy zaś wraz z upadkiem Rzeczypospolitej upadł handel wschodni, wielu z nich porzuciło kupiectwo, stając się ziemianami bądź imając się zawodów inteligentkich.

Ormiańscy emigranci od ludności kresów wschodnich różnili się przede wszystkim wyznaniem. Należeli oni bowiem do Kościoła Gregoriańskiego — narodowego kościoła Ormian, założonego w wieku IV, o doktrynie monofizyckiej. W katolickiej Rzeczypospolitej nakłaniano ich zatem do uznania dwóch natur w Chrystusie (co negował właśnie monofizytyzm) i zawarcia unii z Rzymem. Dzięki wysiłkom Mikołaja Torosowicza w 1630 unią taką zawarto, choć większość polskich Ormian nie chciała się zrazu na nią zgodzić. Lecz w końcu stali się unitami, administracyjnie przynależącymi do Archidiecezji Lwowskiej Obrządku Ormiańskiego. Ostatnim arcybiskupem ormiańskim w Polsce był Józef Teodorowicz; arcybiskupem został on w latach 1902—1938.

Dwudziestolecie międzywojenne w dziejach Ormian polskich, o którym będzie tu przede wszystkim mowa, śmiało nazwać wypadła epoką Teodorowicza. On to bowiem najpełniej wyraził ówczesny etos tej niezwyklej grupy. Arcybiskup Teodorowicz był nie tylko wielkim księciem Kościoła, lecz poza tym wybitnym politykiem polskim, związanym z ugrupowaniem endeckim. Jeszcze za czasów austro-węgierskich zasiadał w Sejmie Galicyjskim i w Izbie Panów w Wiedniu. W trakcie działań wojennych bronił wszystkich krajów przed szykanami władz wojskowych. Gdy zaś powstała Druga Rzecz-

pospolita, służył jej jako poseł i senator. Ponadto wypełniał sumiennie swe obowiązki wobec wiernych obrządku ormiańskiego. „Obrządek własny, odrębny — pisał on — jest szczytnym dowodem bogactwa i płodności ducha tego społeczeństwa, z którego serca wypłynął. Wieki wewnętrznego życia Ormian złożyły się nie na wiązaną luźnych modlitw, ale na całą organiczną liturgię, na osoby i nowy akord, rozbrzmiewający w harmonii Kościoła”.

Jak wielokrotnie stwierdzono, żyjący od wieków w diasporze naród ormiański nie odstępuje od swej etniczności, jeśli tylko trwa przy swojej wersji chrześcijaństwa. W Polsce przeszli Ormianie na katolicyzm, lecz w obrządku ormiańskim, i w dużej mierze dzięki niemu zachowali pewną odrębność. Obrządek ten dotyczył nade wszystko liturgii sprawowanej w języku staroormiańskim, grabar, podobnie niezrozumiałym dla ogółu wiernych jak łacina przed II Soborem Watykańskim.

ZAWARTY w 1925 r. między Polską a Stolicą Apostolską konkordat nie regulował specjalnie spraw obrządku ormiańskiego, aprobował jedynie jego prawno-państwowe istnienie. Mianowanie arcybiskupa lwowskiego spośród trzech kandydatów wybranych przez kler miało przysługiwać papieżowi, władza państwowa mogła co do tego założyć veto. Jurysdykcja arcybiskupa została de facto rozszerzona na obszar całej Rzeczypospolitej, gdyż wiele jego owieczek mieszkało już poza terenem diecezji, poza Galicją wschodnią.

Archidiecezja Lwowska Obrządku Ormiańskiego obejmowała ponad cztery tysiące osób, była zatem wyjątkowo nieliczna. Dzieliła się na osiem parafii w trzech dekanatach. W dekanacie lwowskim znajdowała się parafia lwowska, do której wliczono także Ormian spoza Galicji wschodniej, oraz parafia w Brzeżanach. We Lwowie mieścił się też klasztor benedyktynki ormiańskich, istniejący od końca w. XVII. W Stanisławowie, Tyśmienicy i Łucku znajdowały się parafie dekanatu stanisławowskiego. Dekanat kuteński obejmował parafię w słynnych Kutach, Horodence i Sniatyniu. Ponieważ nawet na terenie wschodniej Małopolski Or-

mianie byli rozproszeni, przeto nie wszyscy trafiali co niedzielę do swego kościoła parafialnego, tylko uczestniczyli we mszy odprawianej w pobliskiej świątyni rzymskokatolickiej.

Już w okresie zaborów można obserwować zamieranie obrządku ormiańskiego na wschodnich kresach dawnej Rzeczypospolitej. W Kamieńcu, Mohylowie oraz pozostałych skupiskach ormiańskich w zaborze rosyjskim w ciągu XIX stulecia przestano się modlić po ormiańsku. Unicki obrządek ormiański nie został przez władze carskie zniesiony, jak to się stało z obrządkiem greckokatolickim, ale jego wyznawcy po prostu ulegli polonizacji. Po I wojnie światowej od Archidiecezji Lwowskiej odpadła parafia w Czerniowcach na Bukowinie, która weszła w skład Rumunii.

Jeżeli wspomniano już Ormian polskich w Rumunii, to trzeba koniecznie powiedzieć o konflikcie, jaki z ich powodu wybuchł tuż po wojnie między Polską a Rumunią. Otóż na Bukowinie Ormianie byli wielkimi posiadaczami ziemskimi i władza rumuńska, obejmując tę krainę, nie naruszyła ich stanu posiadania. Inaczej natomiast było w Besarabii, w której za czasów rosyjskich wielu Ormian, najczęściej z Kut, dorobiwszy się na handlu bydłem i nierogacizną, nabywało ogromne folwarki. Podczas wojny rosyjska komenda armii na froncie rumuńskim na majątki te nałożyła dość duże świadczenia; nie tycyli się one jedynie Ormian będących poddanyami cara. Toteż gros właścicieli zaczęło wyprzedawać swe dobra, a po wojnie większość optowała na rzecz Polski. Rząd rumuński wszystkim optantom skonfiskował majątki, rozdzielając je między małorolnych. W wyniku międzynarodowego procesu Rumunia została zobowiązana do wypłacenia pokaźnych odszkodowań, które pozwoliły prześladowanym Polakom ormiańskiego pochodzenia nabyć majątki na terenie ich państwa.

Jeszcze inne wydarzenia polityczne wpłynęły na życie tej grupy w międzywojennej Polsce. W latach 1915—1920 półtora miliona Ormian na Wschodzie (bywają wyższe szacunki) zostało planowo wymordowanych przez Turków. Opisywał ich cierpienia między

Azerbejdżan

JESTEŚMY zaproszeni do rodziny Zemy na przyjęcie. Stół ugina się od egzotycznych potraw — jest płow, czyli specjalnie gotowany ryż na sypko z duszonym osobno mięsem z cebulą i suszonymi śliwkami, można dodać smażone na maśle rodzynki, daktyl i figi, dolma, czyli faszerowane ryżem z mięsem bakłażany, pomidory, papryka — ta sama nazwa przysługuje czemuś, co przypomina nasze gołąbki, tyle, że rolę kapusty spełniają liście winogron. Do tego co najmniej pięć gatunków roślin i trawek, które po prostu bierze się ręką i wkłada do ust, komponując indywidualnie smak i zapach potrawy — ten sam płow za każdym kęsem może mieć inny smak w zależności od ilości i rodzaju dobranych przystawek. Nie mogło oczywiście zabraknąć pater z brzoskwiniami, melonami, figami, gruszkami, kawonami i winogronami, ułożonymi tak, jakby za chwilę miały służyć holenderskim mistrzom za model. Alkohol pije się, lecz tylko wódkę i w małych ilościach — wina zakazuje Koran.

Na przyjęciu jest milicjant: — Wiesz, dlaczego Francuzi przyjechali do Armenii, kiedy było trzęsienie ziemi, i zaraz odjechali? Znalezli duże rury, zaspawane z obu stron, z upchanymi ciasno azerbejdżańskimi dziećmi wewnątrz. Zobaczyli i odjechali.

— Nam nakazują: w razie zamieszek uspokajacie ludzi, rozładowywujecie napięcie. Ci, którzy przyjechali z Armenii mówili, że tamtejsi milicjanci dowozili służbowymi samochodami swoich, żeby bili naszych.

Kończy standardowo: — To prawda, że u was niszczyli cmentarze radzieckich żołnierzy?

Dlaczego muszę się tłumaczyć, przecież Urban brał za to pieniądze.

— Litwa, Łotwa i Estonia, Polska też, to lekcja dla nas. Tutaj również musi się zmienić. Nasi, uciekając z Armenii, prosili milicjantów, żeby ich podwieźli do granicy — bali się chuliganów. Zawieźli do lasu, odarli ze wszystkiego i mówią: idźcie, gdzie chcecie. A nam

każą nie reagować. Tydzień temu w Karabachu tzw. chuligani zniszczyli auto i pobili jadących nim ludzi. Obok stali żołnierze radzieckiej armii i przypatrywali się, nic ich to nie obchodziło. Przyglądanie się, jak Ormianie biją Azerbejdżan, chyba nie jest chwalebnyim zajęciem żołnierzy? Przecież tamci czują się bezkarni.

ZEMA upiera się, że muszę poznać jej szefów. Wybieramy się do bakijskiego szpitala klinicznego. Są lekarze uciekinierzy, jeden przyjechał ledwie parę tygodni temu.

— Nazywali nas Turkami, odstępcami. Pracowałem tam osiemnaście lat, ojciec, matka, bracia tam byli. Powieździeli: nie ma tu dla was miejsca, je-

było w Kirowakanie, Dylidżanie. Uciekłem w samochodzie z rejestracją moskiewską; wszystkie z numerami azerbejdżańskimi ostrzeliwano z automatów. Do tej pory ich gazety piszą o nas jak o swoich wrogach, nasze gazety milczą.

II lekarz (nie trzeba nazwiska, myślimy o swoich dzieciach):

— Wystąpiłem na mityngu w Amasiskim — centrrejonie; mówiłem, że Karabach to nasze ziemie. Zaczęli mnie rugać, czułem, że pora wyjeżdżać. Gdybym tego nie zrobił, następnego dnia aresztowaliby mnie.

— Zyliliśmy zawsze w osobnych gettach, 24 kwietnia baliśmy się wychodzić z domów — wtedy przypadała rocznica

Podchodzi do szafy, wyciąga dwie książki, siada za biurkiem i pisze. Za chwilę odczytuje:

— Uważajemu Adam! W znak uważenia.

Niestety, nie mam niczego pod ręką. Zema ratuje sytuację:

— Napisziesz dedykację, ja przyniosę.

M. S. Kasimow (imięcia nie zapisałem — na książkach w stylu rosyjskim, pozostawiono tylko inicjały), dzieli się refleksjami nie odbiegającymi od normy:

— Erewan jest milionowym miastem zamieszkanym w 99 procentach przez Ormian. Bardzo rzadkie zjawisko w dzisiejszym świecie — taka

MIEDZY PRAWDA

Adam W. Kulik

steście naszymi narodowymi wrogami, wyjeżdżacie do Baku. Miałem bardzo dobrą pracę, prywatną praktykę, 400 rubli miesięcznie. Nigdy nie chciałem tu przyjeżdżać, moje miejsce było tam. Tutaj zarabiam 150 rubli. Ich wódzowie — Zori Bałajan, Siłwa Kaputikijan — pisarze, i akademik astronomii Wiktor Abarkumian o dzień wmalowali ludziom przez telewizor: nie możemy żyć z wami, jesteście naszymi wrogami. Karabach to nasze ziemie. Dali trzy dni, i żeby nie było ani jednego Azerbejdżanina...

— To była zina, góry, drogi zasypały, zamknięte. Myślę, że gdyby dwa tygodnie potem nie nastąpiło trzęsienie ziemi, wszyscy byliby rozstrzelani. Trzęsienie ziemi uratowało nas. W Kuguzskim rejonie trzydzieści sześć osób zabił, niektórych oblepi benzyną i spalili. Do tej pory nikt nie wie, kto zabił i spalił, nikogo nie aresztowali. Niektórzy uciekali przez góry pieszo — wszystkie dzieci do lat trzech umarli z zimna, wyczerpnia...

— Nie mogliśmy jechać samochodami — przebiegali się w mundury wojskowe i mówili: pomożemy, wsiadajcie. Wywozili w góry i rozstrzelali. Tak

starszej rzezi dokonanej przez Turków na Ormianach w 1915 roku. Zaczęło się tak, że turecki generał, z pochodzenia Ormianin podniósł bunt — chciał oderwać część ziem, którymi wadała Turcja, i dać Ormianom. Rozbili ich doszczętnie, ale generała oszczędzono — Turcy zawsze cenili dobrych dowódców. Teraz Ormianie nazywają nas Turkami i 24 kwietnia napadają, biją.

III lekarz:

— Zimą osiemdziesiątego ósmego w Sisijskim rejonie uciekało autobusem 70—80 Azerbejdżan. Złapali ich w górach, rozebrali do bielizny; jeden mówi: oblejmy ich benzyną i spalmy. Drugi: nie trzeba, w tym zimnie nie dojdą bez ubrań. Z Nachiczewania oczyszczali drogę ze śniegu i znaleźli ich. Tylko to ich uratowało.

„Szef numer 2” Zemy (dyrektor oddziału) prosi nas do gabinetu. Rozmawiamy: Lekarz I siedzi bez ruchu, patrzy w głąb siebie, widać, że jest tam.

Główny lekarz szpitala klinicznego w Baku, M. S. Kasimow, mimo całej powściągliwości, wita nas życzliwie:

— Ja też jestem pisarzem...

metropolia jednorodna etnicznie. Ten fakt najlepiej świadczy o nacjonalizmie Ormian. Weźmy Baku: Rosjan i Azerbejdżan jest mniej więcej po równo, 30 procent stanowią Ormianie, resztę Żydzi, Tatarzy, Polacy i inne nacje. Do rewolucji w Erewanie mieszkało oficjalnie 43 procent Azerbejdżan, oficjalnie! Nieoficjalnie wszyscy wiedzą, że licznie tam przeważaliśmy. Teraz nie ma ani jednego Azerbejdżanina w całej Armenii.

— W klinice u nas średni personel to Ormianie — nikt im nie mówi, żeby stąd uciekali. No, jest wrzenie w narodzie powodujące, że wyjeżdżają, taka presja psychiczna. Poza tym oni sami wyciągają wnioski z postępów współplemieńców i boją się rewanzu.

Z szybkiej rozmowy Zemy z „szefem nr 1” orientuję się, że przedstawia mnie jako znawcę historii i sztuki Azerbejdżanu.

— Chcieliby zobaczyć świątynię czciocieli ognia w Surachanie, naskalne rytę w Gobustanie...

Decyzja jest natychmiastowa: — Daję wam samochód do dyspozycji do końca pobytu.

innymi Stefan Żeromski w „Przedwiosniu”. Ponadto zakończyła się porażką próba odbudowania państwa armeńskiego w historycznych granicach. Te nieszczęścia żywo obchodziły Ormian galicyjskich, lecz niewiele mogli na nie zaradzić. Na terenie Polski znajdowali jednak schronienie uchodźcy z Armenii i ze wschodnich skupisk diaspory, w tym sporo białych emigrantów. Na pewno nie przewyższali liczebnie Ormian polskich, a że osiedlali się często w Wilnie i Warszawie, stąd ich kontakty z nimi nie mogły być zbyt intensywne, poza tym należeli oni do Kościoła Gregoriańskiego.

Na początku lat trzydziestych został we Lwowie założony Archidiecejalny Związek Ormian. Obowiązki prezesa objął w nim Jan Antoniewicz, jednakże największy autorytet posiadał arcybiskup Teodorowicz. Związek działał we wszystkich miejscowościach kraju, gdzie znajdowały się kolonie Ormian, i jednczył około pięciuset osób. W statucie organizacji tej można przeczytać: „Celem Związku jest: 1. Skupienie Ormian i zachowanie obrządku ormiańskiego oraz tworzenie ognisk życia towarzyskiego. 2. Niesienie pomocy moralnej i materialnej, zarówno kościołom ormiańskim, jak i instytucjom społecznym, zakładom naukowym, fundacjom (apolitycznym) oraz poszczególnym członkom. 3. Popieranie misji Ormian działających na Wschodzie i w krajach przez nich zamieszkałych”.

Do najbardziej znanych przedsięwzięć związku należały organizowane we Lwowie podczas karnawału „Bale Ormiańskie”. Bywali na nich nie tylko Ormianie, lecz także przedstawiciele miejscowej elity. Podobne imprezy, choć nie tak okazałe, urządzano na prowincji. Dzięki nim mogły kojarzyć się ormiańskie małżeństwa, które gwarantowały przetrwanie starych tradycji. Dochody uzyskiwane z „Balów Ormiańskich” przeznaczano głównie na pomoc dla uczącej się młodzieży.

ORMIAŃCIE bardzo garnęli się do nauki i, choć tak nieicni, posiadali instytucje o charakterze oświatowym i wychowawczym, dostępne również dla przedstawicieli innych społeczności. Siostry benedykty-

ki prowadziły we Lwowie na bardzo dobrym poziomie gimnazjum żeńskie. W tym mieście znajdowała się też bursa dla młodzieży męskiej, nosząca nazwę: Zakład Naukowy im. Józefa Torosiewicza. Ufundował go w 1865 r. właśnie Torosiewicz — znany lekarz i filantrop. Oto jak po latach wspominał ją jeden z ostatnich jej wychowanków, Tadeusz Petrowicz: „Lata spędzone w Zakładzie — wszyscy jego wychowankowie — wspominamy zawsze ciepło i dzisiaj można tylko żałować, że takie placówki już nie istnieją, bo prosperujące obecnie internaty i bursy nie są już w pełni zakładami wychowawczymi. Ten, w którym uczyli się całe pokolenia młodych Ormian, wychowywał młodzież, uczył ją punktualności i solidarności”. Podobna instytucja została otwarta we Lwowie w 1931 r., dzięki „Fundacji im. Abrahamowiczów”. Założono tam ponadto dwie biblioteki, jedną z inicjatywy kościelnej, drugą w wyniku starań Związku Ormian.

We Lwowie wychodziły w języku polskim dwa czasopisma ormiańskie, „Posłaniec św. Grzegorza” ukazywał się od 1926 r., a zawierał nader interesujące artykuły armenologiczne, przegląd światowej literatury dotyczącej Ormian, a także wiadomości o życiu polskich Ormian (kronika towarzyska, nekrologi, ogłoszenia) oraz tych poza granicami Rzeczypospolitej. Z kolei „Gregoriana”, organ archidiecezji założony w 1935 r., miał charakter pisma religijnego.

Skorą potomkowie przybyszów z Armenii w taki sposób dbali o swoje wykształcenie i w ogóle poziom intelektualny, nie dziwne, że dali krajowi bardzo wielu uczonych i artystów. W międzywojniu wyróżnili się np. bracia Barączowie: Roman — wybitny chirurg i kolekcjoner dzieł sztuki, Erazm — inżynier górnik i również kolekcjoner, oraz Tadeusz — znakomity rzeźbiarz. Teodor Axentowicz — znany malarz i wykładowca Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie. Emanuel Roszko — filolog klasyczny i germanista. Franciszek Teodorowicz — mikolog, organizator kursów hodowli pieczarek w Poznaniu. Ignacy Niko-

wicz — pisarz i dziennikarz związany ze Lwowem. Z muzyków — np. Małgorzata z Abowiantów Kurnatowska — śpiewaczka. tudzież Franciszek Łukasiewicz — pianista, muzykolog i pedagog. Wybitni Polacy ormiańskiej proweniencji są tak liczni, że nie od rzeczy będzie zredagowanie specjalnego słownika biograficznego.

Bynajmniej nie zaniknęły pośród tych Ormian handlowe talenty. We Lwowie prosperował Publiczny Urząd Zastawniczy „Mons Pius”, bank założony jeszcze w czasach ich największej świetności. Ponadto mieli oni swoje sklepy i firmy, nie tylko w Polsce południowo-wschodniej; np. w Warszawie znajdował się Skład Dywanów Perskich należący do Der Aprahamiana. Ale niektórzy kupcy w okresie zaborów przedzierzgnęli się w ziemian i jako tacy również odnosili sukcesy, dochodząc do niemałej zamożności.

UKOCHANYM miejscem polskich Ormian były Kuty, miasteczko przy granicy rumuńskiej, gdzie żyło pół tysiąca Ormian. „Wszak to kolebka większości rodzin ormiańskich, zamieszkałych w Polsce — pisał Stanisław Donigiewicz — owiana tyłcom serdecznymi wspomnieniami, czarem ojczywego obrządku, pięknem wspaniałej przyrody, w obliczu którego na usta poety jak i kupca, syna Zachodu i Wschodu, wybiegają słowa zachwytu. Jest to dla nas, Ormian polskich, najpiękniejszy w Polsce zakątek ziemi”. Choć stolicą ormiańskiego obrządku była we Lwowie, najwięcej tradycji zachowało się właśnie w tym pokuckim miasteczku. Uroczystości rodzinne oraz święta wyznaczone przez kalendarz liturgiczny miały tu cechy istic orientalne i próżno by szukać podobnych w innych parafiach, które bardziej uległy polonizacji. Tutaj jeszcze w międzywojniu ludzie w podeszłym wieku mówili pewnym dialektem zachodnio-ormiańskim.

W Kutach w dniu św. Antoniego Padewskiego odbywały się uroczyste odpusty. W kościele znajdował się cudowny obraz tego patrona kuckiej parafii; obok świątyni mieściły się dwie kaplice, jedna z nich była pod we-

zwaniem św. Grzegorza Oświeciciela — apostoła Armenii. Na uroczystości odpustowe, trwające zwykle dwa dni, zjeżdżano się z całej Polski, a także z pobliskiej Rumunii. Główne nabożeństwa celebrował sam arcybiskup Teodorowicz. Po ich zakończeniu przystępowano do uczczenia, ciesząc się ze spotkań z krewnymi i przyjaciółmi, spożywając smakowite ormiańskie potrawy. Lwowski literat, Ignacy Nikorowicz, podczas odpustów kuckich tak chwalił jedną z nich, kozinę:

Gdy raczysz się koziną,
zdaje ci się, że w szacie
królewskiej siedzisz dumnie
na samym Araracie.

Ararat to mityczna góra Ormian; do jej szczytu w czasie potopu przybiła arka Noego. Widać w Polsce pamiętano o niej jeszcze w epoce Teodorowicza. Ale wówczas inne góry, pewnie jakieś szczyty Karpat Wschodnich, bliższe były sercem Ormian polskich niżli Ararat. Nie są już oni wtedy grupą etniczną, więc też nie mniejszością narodową. Bardziej do nich pasuje status grupy etnograficznej czy subetnicznej, aczkolwiek o nieludowym charakterze. Pamiętać jednak trzeba, iż wywcdzili się oni z narodu od wieków żyjącego w rozproszeniu i w takim stanie, na ile to możliwe, utrzymującego swą tożsamość. Zatem należeli oni w pewnym sensie do diaspor, której poszczególne części wykazują ormiańskość o różnej intensywności. Polscy Ormianie mimo wszystko byli nader słabą częścią tej diaspor. Józef Zerygiewicz pisał, że „ich historia w dawnej i dzisiejszej Rzeczypospolitej to dzieje na wskroś polskie, w których się błąka mit Araratu”.

I jeszcze epilog: po cierpieniach II wojny światowej przegromna większość Ormian polskich, podobnie jak inni kresowiaci, repatriowała się do Polski.

Autor jest asystentem w Instytucie Etnologii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Prowadzi badania nad orientalnymi mniejszościami w Polsce.

Następuje szybki potok w azerbejdzańskim, przerywa go zaplakana kobiecina u drzwi — wychodzimy.

— O co chodzi? — pytam Zemy.

— Objechał mnie, że za późno z wami przyszedł, samochód byłby wcześniej.

— A ta kobieta?

— Z Karabachu, przyszła prosić o pomoc.

— Co się stało?

— To co zwykle, Ormianie.

— Często tak przychodzą? Pomaga?

— Bardzo często. On dużo może.

„Szef nr 3”, czyli przelożona pielęgniarz, sprowadza do gabinetu kobiecinę z Nagornego Karabachu:

— Zestrzelili helikopter z naszymi dziećmi, wszystkie zginęły. To zwierci nie ludi.

— To nie było tak — uspokaja III lekarz — helikopter leciał po nasze dzieci i upadł na stadion. To znaczy wyładował, sam się uniósł w powietrze i runął — widocznie nie był zabezpieczony.

Przelożona pielęgniarz nie daje się: — Mój matka przyjechała stamtąd, mieszka teraz w Sumgajcie, od pół roku jest chora — nie znosi tego klimatu. Sama widziałam kobietę, która wróciła z Erewania z obcięta piersią. Tak ją wyprawili! Miesiąc temu, czy dwa, w Kierczidżanie koło Stepanakertu zabili dwóch Azerbejdżan, ale jak!

sta do rozmiarów narodowej psychozy. To już jest obsesja — z kimkolwiek byśmy rozmawiali, kończy się na Ormianach.

Znam doskonale takie życie pod ciśnieniem — w czasie stanu wojennego nie chciało się nawet wyjść na ulicę. Człowiek przekraczał próg domu i nie był pewien, czy nie zwymiotuje. Nie będąc pewnym odczuć (może to tylko historia, roztrzęsienie nerwowe, może tylko tak się wydaje?), delikatnie rozpytywałem przyjaciół i znajomych — czuowali tak samo, a więc norma! Ołbrzymie ciśnienie wycisnęło z komunizmu strumień wolności. I kompleks Rosji jakby zaczął tajać — zapomina się tak szybko. Co by się stało, gdyby

wulkan nie znalazł ujęcia? Dziś lepiej nie roztrząsać — pełna odpowiedź przyjdzie za lata, będziemy spokojniejsi i świat może bardziej ludzki.

Rozumiem, że Armenia wykorzystując czas odwilży i niepokoju w ZSRR, drogą faktów dokonanych chce zagarnąć jak najwięcej. Na co jednak liczą politycy cztero- pięćmilionowego państewka, zabierając ziemię narodowi pięciokrotnie liczniejszemu, mającemu poparcie pięćdziesięciomilionowej Turcji? Tej samej Turcji, która odgrodziła się od Armenii morzem przelanej przez więki ormiańskiej krwi.

KTÓREGOS wieczoru dzwoni Mamed Aslan:

— Chcę wam pokazać płonąca ziemię, zaraz przyjeżdżam.

Dwadzieścia, trzydzieści kilometrów od Baku przycupnęło przy drodze sioło Memmetli. Nad skarpą mała, sześćdziesięcioletnia herbaciarnia z piaskowca, oświetlona widoczną z dróg łuną. Przechodzimy przez pustawy lokal i... dno wąwozu, ku któremu

A NIENAWIŚCIĄ

— Mieszka w Martunskim rejonie, sioło Chodzawien.

— W lutym osiemdziesiątego ósmego zgarnęli nas wszystkich z roboty. Byliśmy okrażeni, nie dawali nam jeść, nie mieliśmy medycznej pomocy, nie dają dzieciom uczyć się w szkole. Syna i brata zabili — placze — dom spalili... To robią sąsiedzi, z którymi żyliśmy lata. Jest w wiosce pięć rodzin azerbejdzańskich i czterdzieści dwie ormiańskie. W opuszczone domy sprowadzają z Armenii swoich, żeby ich było więcej.

O co mam ją jeszcze pytać?

— Nie wolno nam z wioski wychodzić, umieramy tam z głodu — pieniądze, które idą dla nas, przejmują Ormianie. To wszystko dzieje się na oczach radzieckich żołnierzy, którzy pilnują spokoju.

— Ale jak to się dzieje — przychodzą po prostu i strzelają przy żołnierzach?

— Nie. Strzelają nocą. Żołnierze otaczają wioskę, do środka nie wchodzą — „nikt nic nie wie”.

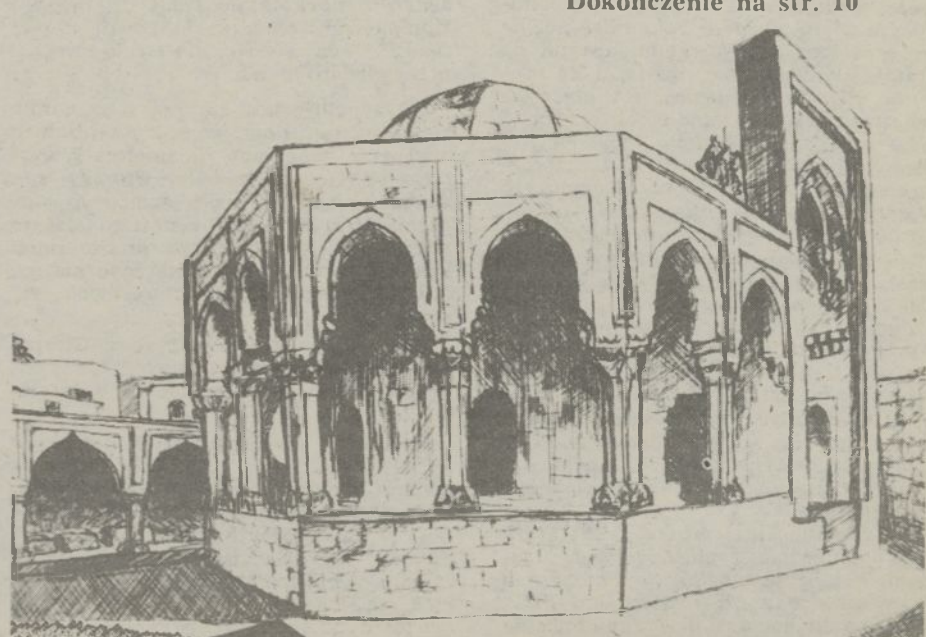
„Szefa nr 3” ponoszą emocje:

Najpierw ich ranili, potem przywiązali do drzewa, odrabali ręce, wypalili papierosami oczy i na żywcę ściągali skórę. Jak z barana! Mówią, że napadamy na nich w Armenii, piszą w gazetach, w TV, kto może to robić, skoro nie zostawili u siebie ani jednego Azerbejdżanina? To jest taka prawda, taki system.

„Szef nr 2” czyli Kierimow Juzasido Islam ogły, powiada:

— Mieliśmy w Baku znakomitego fachowca na eksponowanym stanowisku, Ormianina; trzy razy składał podanie do władz o zgodę na wyjazd do Armenii, i trzy razy mu odmawiano. Ale uparł się, miał układy, wyjechał. Tuż przed lądowaniem samolotu w Armenii podarł na sobie koszulę podrapał twarz — przecież człowiek wykształcony, kulturalny, znaczy: pobiliśmy go na wyjeździe. Tam zrobili dobre nagłosnienie, przysyła Moskwa pismo: co wy ludzi przesładujecie? Biciecie i wyrzucacie z Azerbejdżanu? Posłaliśmy w odpowiedzi trzy jego podania i trzy odmowy, niech poznają ich uczciwość.

POWOLI zaczynamy być zmęczeni. „Problem ormiański”, obecny wszędzie i o każdej porze, ura-



„Diwan-chana”

Rys. Małgorzata Kulik

Dokończenie na str. 10

Cyrankiewicz nie został Wallenrodem WOJNA I LITERATURA

Ziemowit Michalski

Co łączy ze sobą Jan. Nowaka-Jeziorańskiego, Stefana Kisielewskiego i Józefa Cyrankiewicza? Powyższe zdanie brzmi jak pytanie z „Wielkiej Gry”. Mogłoby być zadane w dziale „Wojna i literatura”, i to na ostatnim etapie. Pytanie o główną wygraną. A odpowiedź brzmi — Uściług.

Uściług, niewielkie pięciotysięczne miasteczko nad Bugiem, na granicy województw wołyńskiego i lubelskiego. Miasteczko, o którym pamięć w PRL prawie całkowicie już zaginała. Przypomina je jeszcze — budząc zdziwienie nawet u stałych mieszkańców — ulica Uściługska w Chełmie Lubelskim.

Uściług, miejscowość, wokół której pułkownik Józef Zawisła na początku drugiej dekady września '39 zorganizował zapórę obronną na Bugu, powstrzymując w dniach 12—17 września czolgi i wozy pancerne niemieckiej Dywizji Lekkiej.

Bitwa pod Uściługiem, w której z jednej strony brały udział cztery słabe, zaimprovizowane bataliony, a z drugiej 11 zmotoryzowany pułk kawalerii niemieckiej, nie została rozstrzygnięta na placu boju. Przerwało ją, stawiając pytanie o sens dalszego wysiłku bojowego, wkroczenie Armii Czerwonej.

Bitwa ta nie mogła wpłynąć na losy kampanii wrześniowej. Jej istotnym — być może — efektem (tu:aj jako nie historyk pozwolę sobie nieco pogdybać) był ostateczny kształt linii Ribbentrop-Mołotow. Granica, rozdzielająca strefy wpływów Niemiec i ZSRR po dokonaniu czwartego rozbioru Polski, ustalona została — jak wiadomo — 23 sierpnia podczas podpisywania tajnej klauzuli do paktu. Przebiegać miała ona — jak wiadomo — wzdłuż Bugu. Co jest jednak ciekawe, na przełomie pierwszej i drugiej dekady września, a

więc zanim jeszcze Stalin zdecydował się na „wbicie noża w plecy”, Niemcy dziwnie śpieszyli się za Bug. Usilowali, z marszu, zająć Lwów i Brześć oraz sforsować Bug pod Włodzimierzem (właśnie koło Uściługu).

Jeżeli dwóch bandytów umawia się co do podziału łupu, sensowne jest przypuszczać, iż jeden drugiego będzie chciał oszukać. Niewykluczone, iż tak było i tym razem. Pakty, pakietami — mógł myśleć Hitler — a co zajmę, tego już raczej nie oddam. Jeżeli przypuszczenie to jest prawdziwe, to generał Władysław Langner — broniąc Lwowa, generał Konstanty Plisowski — broniąc Brześcia, i pułkownik Józef Zawisła — broniąc Uściługu, plany te pokrzyżowali.

Zostawmy jednak tę hipotezę do weryfikacji historykom i wróćmy do naszego pytania z „Wielkiej Gry”. Co wspólnego mieli Stefan Kisielewski i Jan Nowak-Jeziorański z Uściługiem? Znaleźli się wśród półtora, dwóch tysięcy jego obrońców. I obaj stoczoną tam bitwę opisali.

Stefan Kisielewski w wydanej po raz pierwszy w 1947 r. powieści o niewątpliwych akcentach autobiograficznych pt. „Sprzysiężenie” (to za tę powieść, drukowaną w odcinkach w „Tygodniku Powszechnym”, ksiądz kardynał ekskomunikował Kisielewskiego z tego pisma — dziś wątek erotyczny tej książki raczej nie szokowałby nawet przedszkolaków) przedstawia wojenne losy młodego literata i muzyka Zygmunta. Kapral podchorąży rezerwy Zygmunt, zmobilizowany do 9 pułku piechoty Legionów do Zamościa, trafia z kompanią marszową tegoż pułku pod Uściług.

Pod Uściług trafia także z resztkami Ośrodka Zapasowego 2 Dywizjonu Artylerii Konnej z Dubna — i opisuje to w „Kurierze z Warszawy”

— Jan Nowak (wówczas jeszcze nie Zdzisław Jeziorański). Co najciekawsze, obydwaj opisy: i ten w „Sprzysiężeniu” i ten w „Kurierze z Warszawy” zawierają ten sam fragment bitwy — przedarcie się Niemców przez Bug kilkanaście kilometrów na północ od miasteczka i niespodziewane ich wyjście na tyły obrońców nad rzeczką Ług. Czyżby zatem Zygmunt-Stefan i Jan-Zdzisław spotkali się na polu walki ramie w ramie?

A co z tym wszystkim ma wspólnego Józef Cyrankiewicz? Też był pod Uściługiem. Podporucznik rezerwy artylerii, Józef Adam Zygmunt Cyrankiewicz, zmobilizowany jako oficer zwiadowczy II dywizjonu haubic 155 mm 5 pułku artylerii ciężkiej z Krakowa, przeszedł z Armią „Kraków” jej szlak bojowy i także wylądował pod Uściługiem.

Opis momentu poznania późniejszego dyrektora Radia Wolna Europa i późniejszego premiera Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej bez wątpienia przejdzie tak do historii literatury, jak i do historii politycznej. Dlatego pozwolę go sobie tutaj zacytować (Wydawnictwo „Res Publica” i „Znak”. Warszawa — Kraków 1989, strona 28; „Kurier z Warszawy” sprzedaje w Lublinie antykwariat pana Marka Gacki):

„Sowieckie radio oznajmiło, że państwo polskie przestało istnieć. Wobec tego Armia Czerwona zajmuje ziemie ukraińskie i białoruskie, które do tej pory należały do Polski. Zalega ponure milczenie, które przerywa jakiś głos za mną:

— Po tych sk... niczego innego nie można się było spodziewać...

Obejrzałem się, kto to mówi, i zobaczyłem szczupłego przystojnego podporucznika o pociągłej twarzy, drobnych, bardzo regularnych rysach, który dotychczas milczał. Dopiero w kilka godzin później dowiedziałem się, że ten oficer rezerwy nazywa się Józef Cyrankiewicz, jest znanym działaczem PPS w Krakowie, aktywnym zwłaszcza wśród studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego. Cyrankiewicz, którego poznałem bliżej w ciągu następnych dwóch tygodni, nie podobny był zupełnie ani fizycznie, ani pod żadnym innym względem do późniejszego, spasionego jak wieprz, współwłaściciela Polskiej Ludowej. Ten późniejszy Cyrankiewicz tak dalece różnił się od tego, którego poznałem w niewoli, że w latach powojennych podejrzewałem w nim nawet przez jakiś czas Wallenroda, który w sposobnej chwili odegra rolę, jakiej nikt się po nim nie spodziewa”.

LISTY

Dramat na Podlasiu

Na łamach Waszego poczytnego czasopisma, wypytując „białą plamę”, chciałbym zrelacjonować wstrząsający dramat, jaki miał miejsce w 1946 roku na Podlasiu.

10 kwietnia 1946 roku do Cierpigorza przyszedł na zakwaterowanie oddział partyzancki ROAK. Został poinformowany, że zamieszkały tam Stanisław Ołędzki, funkcjonariusz UB, handluje bronią. Kiedy zapukano do drzwi jego mieszkania, żeby zarekwirować mu broń, niespodziewanie posypały się strzały. Rozpoczęła się wymiana ognia. Ale po kilku oddanych strzałach Ołędzki wyskoczył przez okno i zbiegł.

Stanisław Ołędzki w okresie okupacji niemieckiej został wywieziony na roboty do Niemiec. Po zakończeniu wojny trudnił się rozbójem i gwałtami. M. in. zgwałcił zakonnicę, czym się sam szczylił. Następnie wstąpił do milicji, skąd wkrótce przeszedł do pracy w PUB w Siedlcach. Po powrocie do rodzinnej wsi handlował bronią.

Po tym niefortunnym incydencie z Ołędzkim, oddział liczący 15 ludzi zakwaterował się w domu Kazimierza Wierzbickiego, za wsią, pod lasem. Rozpoczęła się sješta, suto zakrapiana bimbrem, przy udziale licznych dziewcząt ze wsi, które zapoznały się nawet z hasłem oddziału.

Tymczasem Ołędzki wkrótce cichcem powrócił do wsi i po zorientowaniu się w sytuacji, przez nikogo nie indagowany, wsiał w pociąg i pojechał do Siedlec. Tam poinformował o tym wszystkim szefa siedleckiego PUB. Szef natychmiast zarządził alarm bojowy, celem dokonania akcji przeciw partyzantom.

Po zapadnięciu zmroku, pod Starą Wieś podjechała samochodem ciężarowym kompania ubeków, dowodzona przez samego szefa siedleckiego PUB. Stąd pieszo podeszli pod zabudowania Wierzbickiego. Po wystrzale, oddanym na wiat, zorientowali się, gdzie kwa-

terował oddział. Około godziny 22.30 rozwinięci w tyralierę otoczyli dom, gdzie nocowali partyzanci. Po podaniu hasła, zaskoczonym wartownikowi przytknięto lufę pistoletu do piersi i odebrano broń, odprowadzając go na bok. W tym momencie wyszedł z domu jego właściciel, Kazimierz Wierzbicki. Bez ostrzeżenia, serią z automatu zastrzelono go przed progiem domu, jednocześnie otwierając zmasowany ogień z broni maszynowej w okna domu i wrzucając do wnętrza granaty. Wezwano partyzantów do poddania się.

Zdezorientowani, na pół senni i zamroczeni alkoholem partyzanci, z podniesionymi rękoma, poranieni, nie stawiając oporu, zaczęli wychodzić na dwór. Po opuszczeniu przez wszystkich mieszkania ustawiono ich pod ścianą domu. Szef PUB zapytał o dowódcę. Okazało się, że oddział był bez dowódcy. Zgłosił się jego zastępca. Szef wystrzelał z pistoletu powalił go na ziemię. Pozostałych, na dany przez niego rozkaz, serią z km-u rozstrzelano na miejscu. Wśród nich był 16-letni Edward Wierzbicki, który próbował drżącym głosem wyjaśnić, że „nie jest partyzantem, tylko synem gospodarza”. Jeden z ubeków podszedł do niego i śmiejąc się szyderczo strzelił mu w twarz. Jego siostrę, 14-letnią Bogdę, przepędzono do wsi.

Od zapalających się kul i granatów zaczął płonąć dom, w którym leżała z oberwaną nogą żona Kazimierza Wierzbickiego, jęcząc z bólu. Starszy syn Wierzbickiego, Henryk, śpiący w stodole, pochwyił ją na ręce i zaniósł do obory, gdzie wkrótce zmarła z upływu krwi. Towarzyszący funkcjonariuszom UB sanitariusz nie interesował się rannymi.

Szef PUB wezwał soltysa z Cierpigorza i kazał mu niezwłocznie pogrzebać 14-tu partyzantów pod lasem, wyrównując ziemię.

Następną noc oddział partyzantów ROAK z Pucharki przybył do Cierpigorza i odkopał ciała pomordowanych. Zbiorowy pogrzeb odbył się w Paprotnej. W dzień później mieszkańcy Cierpigorza odprowadzili ciała tragicznie zmarłych małżonków i syna Wierzbickich na cmentarz w Mordach. Były wartownik, Z. Łagodziński został skazany wyrokiem RSW w Siedlcach na 10 lat więzienia.

Stanisław Ołędzki, który oskarżył Wierzbickich o współpracę z „bandami” ROAK, miał polecić szefowi PUB: „Starych i syna zabić, Henryka i Bogdę zostawić”. W kilka lat później zginął tragicznie w wypadku.

Henryk Wierzbicki w listonoszu rozpoznał jednego z b. funkcjonariuszy UB, który brał udział w likwidacji oddziału; okazał się człowiekiem bardzo prymitywnym i ograniczonym.

Spółczesność chciałaby poznać nazwiska oprawców, którzy bez sądu, samowolnie „wymierzali sprawiedliwość”. By stało się to ostrzeżeniem dla potencjalnych ludobójców w przyszłości.

Janusz Gosiewski
Lublin

„Co nas czeka...”

Przyjmuję tekst pt. „Co nas czeka” („Relacje” nr 36) za artykuł dyskusyjny i dowodzę, że skazani jesteśmy na wielkość europejską, która będzie określana z czotobitnością jako Grosspolen. To nie ironia, przewrotnie wyrażona w języku, w którym sformułowano najkrytyczniejsze opinie o odwiecznych polskich niedostatkach władz i organizacji [...].

Chyba najdoskonalszą definicją sprawozdawczą dzisiejszego państwa dobrobytu, państwa prawa, opiekuńczego itp. jest stwierdzenie, że jest to zwykle kilkadziesiąt milionów (albo mniej) baranów, kierowanych przez dziesięć tysięcy dobrych pasterzy. Na dziesięć tysięcy dobrych włodarzy i zarządców dzisiaj nas nie stać. Znamy się jak tyse konie i żadne strojenia min państwowotwórczych lub przekazywanie sobie znaku pokoju nie przestani przywar, ciągot i emocji Nadwiślan.

Ale na skrzyknięcie ponad trzystu szczerze oddanych sprawie narodowej pragmatyków i ludzi udanego czynu możemy się w każdej chwili zdobyć [...]. W oznaczonym dniu „P” (początek programu pielęgnacji powagi państwa pokazanej po polsku) zaczęłyby się rozładowywanie tumiwizmu, cwaniaczenia, nieokielznannej nadrówności pro-

staków, niekompetencji baranów, wybujałych aspiracji życiowych miernot, chamstwa, obłudy, pozowania na biedaka, ofiarę losu, odzieranie z hipokryzji, lenistwa, niesolidności itd., itd. przy pomocy najsukuteczniejszej na nas broni: brania delikwenta za cztery litery i kierowania okresowo (albo do emerytury) do roboty cechowanej łopata, plus odebranie prawa do posiadania nieruchomości i — co najdokuczliwsze dla naszego krajana — odebranie prawa postulatu, czyli prawa do krytyki i wnioskowania, jako utartej u nas drogi do nobilitacji towarzyskiej i nie tylko.

Odbywaćby się to przy pospolitym ruszeniu rodaków do dzieła. Wystarczyłoby wprowadzenie zasady, iż każdy będzie skończony moralnie, zawodowo i ekonomicznie, kto sprawcy dopomógł albo nie przywołał go do porządku, pomimo że mógł albo powinien o czymś nagannym wiedzieć. Zawsze to humanitarniejsze niż ucinanie ręki złodziejowi przez zadowolonych teraz z siebie Szwedów.

Nastąpiłby powszechny rozbrat z postawą „nie moja sprawa”, z koleśkami, z leserami, z fuzzerami, ze spółkami, ze zdzieraniem skóry z bliźniego za najdrobniejszą fuchę itd. Nastąpiłby okres wszelakiej równowagi: cen, podaży, zarobkowania, sięgania po funkcje, urzędy, zaszczyty, okazywania oglądy, bezpieczeństwa socjalnego i publicznego.

Tutaj byłyby zawsze dwa odrębne światy: są ci ściągani za granicę i tam podziwiani i oklaskiwani, oraz inni — tam wzgardzani i przeganiani.

Jest jeden świat pelen uniesień patriotycznych oraz fajerwerkowych opraw zgromadzeń religijnych. A obok niego świat tryumfu chamstwa, cwaniactwa i obłudy.

Trzeba odwrócić kolejność reformowania. Ekonomię i ideologię ustawić w drugiej kolejności po zabiegu formowania ludzi. Wszystko inne wynika z reakcji łańcuchowej.

Jestem święcie przekonany, iż polska droga do wzniosłości prowadzi przez demokrację dozorowaną — dozorowaną przez niezawisłych starostów.

Kazimierz Schaffler
Tworóg



KRYPTA TYSZKIEWICZÓW W LUBLINIE - PIÓREM I OBIEKTYWEM WALDEMARA STĘPNIA

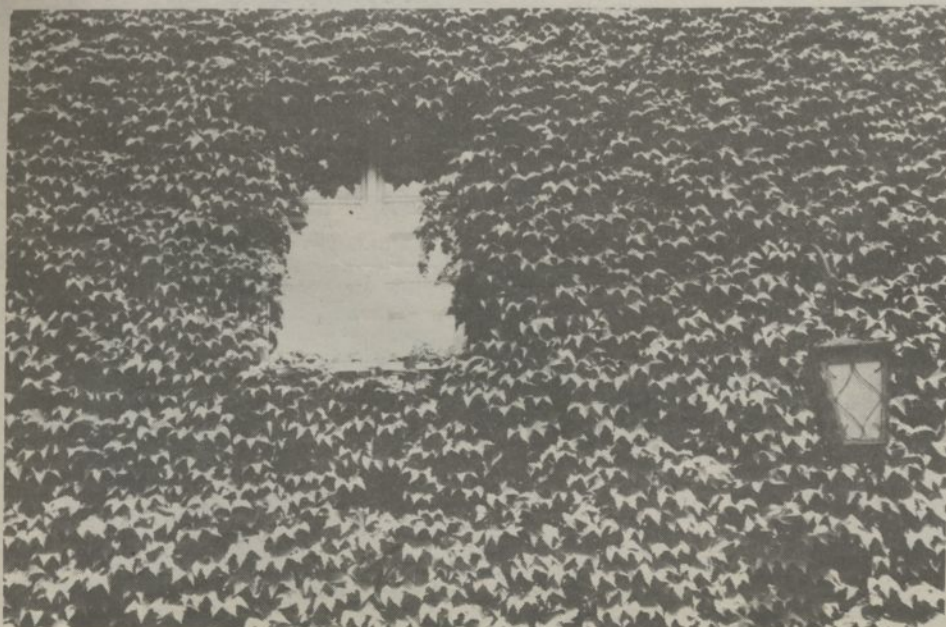
STNIENIE klasztorów katolickich na terenie Polski było uzależnione od fundatorów-dobrodziejów, którzy wspomagali klasztory, utrzymujące się zazwyczaj z darowizn, fundacji oraz jałmużny.

Lubelski klasztor Dominikanów, ufundowany przez Kazimierza Wielkiego, został rozbudowany, był dotowany i konserwowany m. in. przez rody: Firlejów, Ossolińskich, Potockich, Tyszkiewiczów. Fundatorzy mieli uprawnienia do pochówku w kryptach pod kościelną kaplicą oraz mszy fundacyjnych i modlitw za ich dusze. Wg informacji OO. Dominikanów lubelskich, mało znana krypta pod kaplicą Tyszkiewiczów zawiera szczątki przedstawicieli tego rodu z okresu XVII—XVIII w.

Praktyka pochówków wewnątrz kościołów została zaniechana w związku z powstaniem cmentarzy komunalnych na początku XIX w. (pierwotnie cmentarze znajdowały się wokół kościołów parafialnych).

Kasata klasztoru w r. 1886 i wywóz w głąb Rosji jego licznych dóbr kulturalnych spowodowały nieoszacowane i niepowetowane szkody, istniejące i widoczne do dziś. Obecny stan krypty Tyszkiewiczów stwarza przykre wrażenie, nie tylko przemijania, ale i zaniedbania walącego się, zabytkowego przecież obiektu, podpartego licznymi, prowizorycznymi stemplami drewnianymi. Zasadniczą przyczyną tego stanu jest wieloletnie osuwanie się skarpy, na której usytuowany został cały obiekt — od strony ulicy Podwale. Proces ten ma charakter stały i wymaga niezwłocznej interwencji konserwatorskiej.

W krypte zachowały się nie tylko szkielety pochowanych, ale także fragmenty odzieży i trumien. Kiedy się ogląda te doczesne szczątki, nieodparcie przychodzi na myśl słowa liturgii katolickiej: „Pamiętaj człowiecze, że z prochu powstałeś i w proch się obrócisz, ale Pan wskrzesi cię w dzień ostatni”.



ILE PAN BIERZE, DOKTORZE?

Izabella Wlazłowska

NA chirurgii leży pracownik dużego zakładu przemysłowego, który po zawodowce ukończył jeszcze dodatkowy kurs i obecnie pracuje w akordzie. Rozmawia z lekarzem, który nazajutrz będzie go operował.

— A ile to pan doktor miesięcznie wyciągnie? — dopytuje się. Lekarz szybko zlicza i powiada z dumą: — No, teraz to już będzie powyżej trzystu.

— O Jezu — mówi przerażony pacjent — ja dochodzę do pół miliona. Czy pan aby jest dobrym doktorem?

Autentyczne.

Sprawy finansowe w służbie zdrowia wzbudzają już od dłuższego czasu wiele emocji, zarówno w samym środowisku medycznym, jak i poza nim. Służba zdrowia narzeka na niskie pensje, brak leków, sprzętu, koszarne warunki lokalowe itd. Inne grupy zawodowe wręcz wytykają, że ci w białych fartuchach nie są wcale tacy biedni, za jakich się uważają. Bo to i wille, i samochody, i „zdzieranie” z pacjentów, i — mówi się także — lewe profity...

System wynagradzania w służbie zdrowia (ponieważ jest to pojęcie bardzo szerokie, wezmę pod uwagę lecznictwo zamknięte, a więc szpitale) jest tak niezrozumiały i zawiły, że wymyślono go chyba po to, aby dać dodatkowe zajęcia administracji.

Kilka dni temu, będąc poza Lublinem, zapytałam ordynatora oddziału wewnętrznego szpitala miejskiego, mającego 16-letni staż pracy i dwa stopnie specjalizacji, ile zarabia. „Zaraz, zaraz — usłyszałam — muszę policzyć: podstawowych poborów mam 153 tys. zł, plus dodatek ordynatorski, plus staż pracy, plus dodatek drożdżniany, plus... plus...”

Zapytałam też w lubelskiej klinice, jakie pobory otrzymuje ordynator z tytułem profesora. Usłyszałam: „Ponieważ profesor zatrudniony jest przez Akademię Medyczną, lecz w ramach swoich obowiązków naukowo-dydaktycznych prowadzi jeszcze tzw. działalność usługową, jako ordynator otrzymuje połowę uposażenia przewidzianego siatką płac dla danego stanowiska w służbie zdrowia”. Dowiedziałam się.

Ostatnie miesiące wprowadziły jeszcze dodatkowo koszmarny zamęt w naliczeniach poborów, tak że żadna z osób, które zapytałam, ile bierze pierwszego, nie była w stanie odpowiedzieć mi jednoznacznie.

Konieczna jest więc zatem generalna zmiana systemu wynagradzania w służbie zdrowia i wprowadzenie systemu prostego, jasnego i zrozumiałego dla każdego, systemu, który wyraźnie różnicowałby stopnie naukowe, specjalizacje i funkcje, tak by lekarz wiedział, że opłaca mu się np. robić doktorat, bo za tym idą duże pieniądze. Pielęgniarki zaś może podjęłyby pracę na tzw. oddziałach deficytowych: gruźliczym, sztucznej nerki, w przyszłości AIDS, gdzie istnieje niebezpieczeństwo zakażenia; obecnie wypłacany do-

datek „deficytowy” w wysokości 20 proc. uposażenia zasadniczego (średnia płaca 80 500 zł) jest zwyczajnie śmieszny.

W całym zachodnim świecie system opłacania służby zdrowia jest tak przejrzysty, że nie należy chyba wyważać otwartych drzwi, a jedynie dostosować go do polskich warunków.

A skoro już o pieniądzach... Przedstawię zestawienie średnich plac zasadniczych w naszej służbie zdrowia. W większości krajów stanowią one podstawę opłacania pracownika za pracę wykonywaną na danym stanowisku. Tam nie stosują jakichś dodatków, premii motywacyjnych, uznaniowych i innych temu podobnych bzdur, dzielonych przez „rządzących” według ich „wizjonów”. Pracownik ma wykonywać pracę w ramach pensji, którą otrzymuje, a jeżeli ją wykonuje źle, to nie cofa mu się jakiejś premii uznaniowej, tylko po prostu wyrzuca z pracy. Proste, jasne, zrozumiałe. Tylko nie u nas.

A oto zestawienie średniej płacy zasadniczej (bez premii, dyżurów i godzin nadliczbowych) pracowników Wojewódzkiego Szpitala Zespołowego w Lublinie na koniec czerwca 89 r., czyli przed tą — jak usłyszałam — „znaczną” podwyżką i po niej, czyli na koniec września 89 r.

Lekarz medycyny: 92 tys. zł — 113 tys. zł; lekarz dentysta: 96 tys. zł — 116 tys. zł; farmaceuci: 84 tys. zł — 100 tys. zł; personel średni: 63 tys. zł — 80,5 tys. zł; personel niższy: 49 tys. zł — 64 tys. zł; obsługa: 52 tys. zł — 65 tys. zł; administracja: 73 tys. zł — 86 tys. zł.

Żeby więc utrzymać rodzinę, każdy lekarz „łapie” dodatkową pracę w przychodni rejonowej, specjalistycznej, pędzi na nocne dyżury itd., itd., a kiedy mu na koniec miesiąca doliczone zostaną jeszcze dodatki od głodu, inflacji i wszelkiego nieszczęścia (które zresztą otrzymujemy wszyscy), to wychodzi, że podstawowe jego pobory stanowią jedynie jedną trzecią tego, co wziął z kasy.

„To dużo” — słyszę. W tym samym czasie dobra szwaczka z dużego zakładu w naszym regionie bierze z kasy powyżej 400 tys. zł miesięcznie plus wszystkie te głodowe dodatki. Pracowała 8 godzin dziennie, nie miała nocnych dyżurów, nie odpowiadała za człowieka, bo jej jedyną odpowiedzialnością było to, by nie zlamala igły...

Nie będę wylewała dalej żółci, pisząc o sytuacji szpitali — tych najtańszych w Polsce hoteli, gdzie zapewniany jest wikt i opierunek osobom, które dawno już powinny opuścić łóżka (kiedy kilka lat temu byłam w szpitalu w Radecznicy, znalazłam tam pacjentów przebywających po 10—15—18 lat), o kłopotach z finansowaniem remontów, aparatury, sprzętu itd. Pozostawiam to do odrębnego artykułu i dyskusji czytelników.

MIMO coraz większej sympatii dla naszego kraju, zwłaszcza po utworzeniu rządu przez Tadeusza Mazowieckiego, powtarzane są na Zachodzie poglądy, że udzielanie Polsce nowych, znacznych kredytów jest jeszcze przedwczesne (m.in. z taką opinią spotkał się Lech Wałęsa podczas podróży do RFN oraz ostatnio — Kanady i Stanów Zjednoczonych). A ponadto uważa się, że nie powinny to być kredyty dawane, jak dawniej, rządowi, ale konkretnym przedsiębiorstwom lub biznesmenom.

Skąd ta zmiana stanowiska? Dlaczego uważa się dzisiaj coraz powszechniej, że rząd nie może być wiarygodnym kredytobiorcą i przedsiębiorcą? Na te pytania odpowiada częściowo artykuł Jerzego Lisieckiego zamieszczony w kwartalniku politycznym „ANEKS” (nr 44), wydawanym we Francji pod redakcją Aleksandra Smolara. Postanowiliśmy przybliżyć naszym czytelnikom to rozumowanie i omawiamy poniżej główne tezy artykułu pod znanym tytułem „Głos przeciwko udzielaniu Polsce nowych kredytów”.

Analizując i przedstawiając mechanizmy strukturalne polskiej gospodarki państwowej, autor zaczyna od omówienia relacji naszego importu i eksportu. Tak więc kraj nasz jako importer zgłasza na rynku światowym zapotrzebowanie na produkty najwyższej jakości i najwyższego poziomu technologicznego, natomiast jako eksporter zachowuje się jak typowy kraj trzeciego świata. Więcej niż połowę naszego eksportu stanowią surowce i mało przetworzona żywność. Mimo więc, że sprowadzamy z Zachodu nowoczesne technologie i urządzenia, nie potrafimy wykorzystać ich do produkowania nowoczesnych wy-

GDYBY wielkość każdego zakładu mierzyć liczbą zatrudnionych pracowników, to Wytwórnia Octu i Musztardy w Parzewie znalazłaby się na szarym końcu przedsiębiorstw działających w naszym regionie. Cała firma bowiem, od sprzątaczkii do dyrektora, liczy 70 osób, co w skali czterech województw (Chełm, Zamość, Biała Podlaska, Lublin) stanowi zaledwie dziesięciotysięczny ułamek ogółu zatrudnionych w gospodarce społecznej.

Jednak takie rozumowanie, powiada szef parzewskich „przypraw” Stanisław Jarosz, prowadzi prosto w ślepy zaułek. Przez dziesięciolecia preferowano w Polsce przemysłowe giganty, które dzisiaj stoją na granicy bankructwa, strasząc widmem bezrobocia. W naszym regionie, gdzie 70 procent powierzchni stanowią użytki rolne, powinien funkcjonować bardzo dobrze rozwinięty przemysł spożywczy. Ale jak na razie o sieci drobnych zakładów pracujących na potrzeby gospodarki żywnościowej możemy tylko pomarzyć.

Parzewska Wytwórnia Octu i Musztardy obchodziła w tym roku 20-lecie swego powstania. Skromnie, bo czasy hucznych jubileuszy już minęły, a i generalny remont zakładu, który dobiega końca, pochłania dużą część zysków. Dyrektor Jarosz z olówkiem w ręku wylicza, że tylko za ostatnie 10 miesięcy jego firma zarobiła na czysto, po odliczeniu plac i podatków, 122 mln złotych. Biorąc pod uwagę fakt, że od Zamościa po Białą Podlaską praktycznie nie ma żadnej konkurencji, można by, założywszy ręce na brzuch, spać spokojnie. System nakazowo-rozdzielczy już nie działa. Nikt nie zadzwoni, udzielając „dobrych rad”, a inflacja w sytuacji monopolisty wygląda mało groźnie.

— To tylko pozory — mówi dyrektor Jarosz. — W rzeczywistości obraz naszej wytwórni wcale nie wy-

MIEDZY PRAWDĄ A NIENAWIŚCIĄ

Dokończenie na str. 6—7

prowadzą kamienne schodki, w płomieniach. Stajemy bez słowa. Zbocze góry po przeciwnej stronie liże dziesięciometrowy jeźor ognia. Gdy wiatr powieje od herbaciarni, Mamedzejdzie i kawalkiem blachy pociągnie po ziemi — w wyżłobionej rysie zapalają się jeden po drugim fioletowo-krwiste, pelgające kaganki.

Siadamy przy stoliku. Kelner przynosi dwa czajniczki herbaty, maleńkie, profilowane szklaneczki, konfitury, talerz z orzechami i drugi z kawalkami melona. Zar dosięga nas i tutaj.

— To było święte miejsce z płonąącym świętym ogniem — opowiada Mamed. — Azerbejdżan od dawna nazywany jest krainą ognia. 450 kilometrów stąd jest miejsce, gdzie ogień wzbija się do góry razem z wodą, która wrze i płonie.

— Nikt nie próbuje wykorzystać tego gazu?

— A po co? Mamy go dosyć. Ten jar pali się w deszcz, w śnieg, od wieków, nikt nie wie odkąd.

— Jak można by przetłumaczyć nazwę miejscowości?

— Płonąca, korejska góra. Tam, gdzie w nazwie jest rdzeń „kent”, znaczy, że miejscowość rozwinęła się z małego siola, na przykład Tazskient, Cimkent. Tazskient znaczy kamienne siolo. Rozmarzam się: w egipskiej „Księdze umarłych” sprzed czterech, pięciu tysięcy lat jest wzmianka o „górce Bakchaj wschodzącego słońca”; zarówno Baku, jak i Bakchaj odnoszą się do słowa: słońce, jutrzienka — czy to tylko przypadek?

Wracamy. Mamed w szampańskim humorze podśpiewuje, podskakujące na wyboistym asfalcie auto przeszkadza, ale on nie daje za wygraną. Pieśń egzotyczna, z typowo wschodnią ornamentacją. Tak wjeżdżamy w rumowisko rur, masztów i pracujących rytmicznie urządzeń poprzedzielanych dojazdowymi drogami — w pas wydobywanych szybów okalający szczelnie Baku.

— Co to było? — pytam.

— Pieśń miłosna z Bachezseraju. Wiesz, gdzie to jest?

— Krym, Tatarzy, Podole, Sobieski — odpowiadam. Zdaje się, że i jemu nieobca jest nasza historia. — Ale konkretnie: o czym śpiewałeś?

— No wiesz: twoje oczy są jak gwiazdy, włosy lśnią piękniej od blasku księżycy — typowe szesnasto-, siedemnastowieczne poezjowanie.

Przy kolejnym, nagłym uskoku drogi dolatuje nas — Polak by powiedział — smród zepsutych jaj, ale Mamed jest mieszkańcem Baku:

— Nafta pachnie — mówi i zawiera w tym wszystko: miłość do ziemi, podziękowanie losowi za bogactwo swojego miasta, swoistą, powiedziałbym — trudną urodę krainy.

NASTĘPNEGO dnia przyjeżdżają z Jewlacha Rafael z Arifem.

— Jechali całą noc, żeby się z wami zobaczyć — mówi Arif — to się nazywa przyjaźń.

Niezręcznie nam, że musimy czekać — Zema wymyśliła kolejny cykl spotkań, ale popołudnie jest nasze: pora obejrzeć serce starego Baku, kompleks pałacowy szirwanszacha. Krążymy po wąskich uliczkach z balkonami wysuniętymi niemal do połowy szerokości jezdni, przeszukujemy zakamarki i w żaden sposób nie możemy znaleźć wejścia w wewnętrzny murze twierdzy.

Balkony Baku to cała poezja, wysunięte nieraz w nieprawdopodobnych miejscach, kolcrowskie, ogromne, oszkłone, przypominające obszerne werandy, ale są i malutkie, jakby przyczępione do muru mimo woli. Zdarzają się kilkupiętrowe, oszkłone kolumny balkonowe, najczęściej w kolorze błękitnym, są także otwarte, z toczonymi tralkami — wietrzą się na nich dywany, atlasowe poduszeczki.

Bardzo często, nawet przy głównych ulicach (tam przeważa secesja — fine-

zyjnie skrócone grube pręty krat i poręczy), pnie się ze skrawka ziemi ku górze potężna goła winogrona, który rozkłada się na powierzchni kilku pięter, sycąc oczy złotawymi kiściami owoców.

W przeciwieństwie do wielu ulic, nawet w centrum miasta, przesmyki wewnętrzny muru twierdzy są czystutkie, wymiecione. Tu czuje się wschód najbardziej: zaułki z niezliczonymi bramami, schodkami ginącymi w zalamaniach murów, niespodziewane odsłony przestrzeni na minarety z zawieszonymi wysoko drzwiami, na stary, pamiętający średniowiecze mur łaźni...

Wrota wewnętrznej twierdzy szirwanszacha są na swoim miejscu, przyjaciele kupują bilety, nieopatrznie chcą nabyć mapę zabytków Azerbejdżanu, ale Rafael jest szybszy:

— Jesteś naszym gościem.

O tej porze postanawiam niczego nie chcieć kupować.

„Diwan-chana” — coś w rodzaju średniowiecznego pałacu sprawiedliwości i jednocześnie miejsce odsiadywania wyroków: w płycie podwórca, wywiercone w skale pionowe, kilkumetrowej głębokości lochy, w które spuszczało się na sznurze więźniów. Kute w kamieniu odrzwia pałacu mają wywiercone na wysokości ramion otwory, do których przywiązywano nadgarstki przestępców. Dziedzic otaczał krużganki jak w karawanseraju — jest to jedno z najpiękniejszych więzień świata, co dla skazańców zapewne było marną pociechą.

(Koniec odcinka 5. — cdn.)

Adam W. Kulik

PRZECIWKO KREDYTOM DLA POLSKI

robów przemysłowych. Zaś w wielu przypadkach, sprzedając tanio surowce i żywność, wyprzedzamy w gruncie rzeczy nie towary, ale nasz dochód narodowy, ponieważ otrzymujemy za te towary mniej, niż kosztowało nas ich wytworzenie.

Porównując wymianę między wysoko rozwiniętymi krajami kapitalistycznymi, autor formułuje tezę, że tylko wymiana towarów o tym samym stopniu przetworzenia technologicznego jest w pełni opłacalna i stymuluje dalszy rozwój narodowego gospodarstwa. Píše on dosłownie tak: „Wydaje się, że została udowodniona pozytywna zależność pomiędzy rozwojem handlu a rozwojem wymiany jakościowo porównywalnych produktów dla wyżej wymienionych krajów. Analogicznie potwierdzony został pozytywny wpływ handlu wewnątrzbranżowego na zmniejszenie deficytów handlowych”.

Spadek cen na surowce i żywność powoduje dodatkowo i tak ciężką sytuację polskiej gospodarki i coraz częściej wymusza na niej zachowania nieekonomiczne. Aby uzyskać potrzebne kwoty na import zaopatrzeniowy, Polska musi coraz więcej sprze-

dawać po coraz niższych cenach, co nasz kraj (przebieżnie biedny) zuboża coraz bardziej.

Zdaniem Lisieckiego, „istnieją jeszcze inne argumenty przeciwko obecnej strukturze [polskiego] handlu zagranicznego”. Ma on bowiem charakter „wysoce homogeniczny; i tak na przykład eksport czterech tylko surowców: węgla kamiennego, siarki, miedzi i srebra stanowi około jednej trzeciej wpływów dewizowych z handlu. Każdy spadek cen tych surowców (jaki obserwujemy ostatnio na rynkach światowych) przynosi duży i trudny do złagodzenia spadek dochodów. Euforia w latach siedemdziesiątych, wywołana hossą na surowce energetyczne, pozwoliła zapomnieć o dużo mniej spektakularnej, lecz za to bezpieczniejszej strategii zwiększania różnorodności eksportowej”.

A zatem jedynym sposobem wyjścia z obecnej pułapki zadłużenia byłoby, według Jerzego Lisieckiego, tylko znaczny wzrost eksportu towarów o wysokim stopniu przetworzenia. Ale tutaj trzeba postawić pytanie kolejne. Czy taki eksport są w stanie efektywnie pobudzić nowe kredyty? Autor przywołuje w tej

mierze konkretne dane z poprzednich lat, kiedy do rozwoju eksportu rząd przywiązywał duże znaczenie polityczne.

Cóż kiedy w roku 1983 nastąpił po raz pierwszy od kilku lat wielki wzrost importu artykułów do zaopatrzenia przemysłu, bo aż o ponad 15 procent, to jednocześnie w tym samym roku odnotowano spadek eksportu wyrobów przemysłowych do krajów kapitalistycznych o całe 7 procent(!). Jest to liczba duża i niepokojąca, na co zwróciła uwagę w roku 1986 Konsultacyjna Rada Gospodarcza, tak pisząc w jednym ze swoich raportów: „Szczególnie niepokojący jest fakt, że wzrost dostaw zaopatrzeniowych z importu z krajów kapitalistycznych w roku 1985, tak jak w poprzednich latach, nie oddziaływał na wzrost eksportu do tych krajów (być może poza przemysłem lekkim)”.

Co natomiast autor proponuje dla ratowania polskiej gospodarki i zmniejszenia zadłużenia? W zasadzie — nie przedstawia propozycji, gdyż uważa, że polska gospodarka państwowa nie jest w stanie poradzić sobie z zadłużeniem o własnych siłach, natomiast nowe kredyty zwiększą tylko zadłużenie i odsuną w czasie możliwość spłacenia długów. „W tej sytuacji — pisze — jakkolwiek dopływ nowych kredytów (nie wdając się w analizę innych, być może pozytywnych dla gospodarki jego efektów) przyniesie musi pogłębienie się asymetrii w strukturze handlowej z Zachodem. Wzrostowi importu dóbr inwestycyjnych nie będzie towarzyszył odpowiedni wzrost ich eksportu”.

W konkluzji autor stwierdza, że pozostawienie Polski samej sobie spowoduje, iż „pułapka zadłużenia będzie mniej groźna niż w przypadku udzielenia Polsce nowych kredytów”.

(Po)

MUSZTARDA PARCZEWSKA PO OBIEDZIE?

Zbigniew Dzieciołek

gląda różowo. Jeżeli w najbliższym czasie nie zdobędę odpowiedniej ilości opakowań, to kupienie musztardy na święta będzie graniczyło z cudem.

Na razie jest jak jest, a w praktyce wygląda to tak. Dzienna produkcja octu wynosi 12 tys. litrów. Poza okresem letnim (marnaty), ta ilość zaspokaja w całości potrzeby regionu. Znacznie gorzej jest z musztardą. Zdolności produkcyjne zakładu wykorzystywane są zaledwie w 30 procentach, co oznacza, że z 6 ton, które powinny „schodzić” z taśmy, tylko 2 trafiają do pojemników. Reszta, w postaci gorczycy i mączki, leży w magazynach. Dwustogramowych słoiczeków, w których przywykliśmy kupować musztardę, nie ma, a te 2 tony rozlewane są do słoików po... dzemach i kompotach. Niedługo jednak nie pozostanie nam nic innego, jak przyjeżdżać do Parczewa z własnymi słoikami lub przyzwyczaić się do sprzedaży musztardy na węg.

Większość dorosłych Polaków pamięta zapewne czasy, kiedy z musztardówki piło się na przykład herbatę. Dzisiaj żadna huta nie wytwarza takich szklanek, bo podobno są niewygodne w produkcji ze względu na swój „nietypowy” kształt. W Parczewie zdążyli zapomnieć, jak wygląda musztardówka, ale

nie dane im jest przyzwyczaić się do nowych opakowań. Po prostu ich nie ma. Huta Szkła w Jarosławiu nie realizuje przyjętych zamówień, mimo że Kombinat Rolno-Przemysłowy „Fructopol”, do którego formalnie należy Wytwórnia Octu i Musztardy, odsprzedał jej 12 tys. dolarów po kursie państwowym, jako dodatek do zawartej umowy. Ale w Jarosławiu wolą produkować butelki dla RFN, niż zwracać sobie głowę krajowymi zamówieniami.

Trudno jednak obrażać się na Jarosław, skoro Huta Szkła w Parczewie, oddalona od wytwórni musztardy o 200 metrów (słownie: dwieście), nie chce podjąć się produkcji małych słoiczeków do musztardy, zasłaniając się ograniczonym „przerobem”. Dyrektor Jarosz gotów byłby wejść w spółkę i częściowo sfinansować zakup potrzebnych urządzeń. Prowadzone rozmowy nie przyniosły, jak dotychczas, żadnych rezultatów. Nie tak dawno sprowadzono opakowania do Parczewa spod... Wałbrzycha, bo huty w regionie nie są zainteresowane „tematem” musztardy, a handel skupem potrzebnych opakowań. Jeszcze kilka miesięcy temu, w nielicznych punktach skupu, słoiczki wyceniono na 2 złote i 50 groszy, w sytuacji kiedy nowy z huty kosztował od 70 do 90 złotych!

Dzisiaj wytwórnia przynosi jeszcze zyski. Ale w najbliższej przyszłości taka sytuacja może odbić się niekorzystnie na zakładowych finansach i to z dwóch powodów. Po pierwsze. Zmniejszona z konieczności produkcja nie będzie dawała zamierzonych dochodów. Po drugie. W tym roku dyrektor Jarosz, szukając możliwości obniżenia kosztów własnych, zaczął skupować gorczycę od okolicznych chłopów. Pozwoliło mu to zredukować o jedną trzecią zamówienia gotowej mączki w Słupcy koło Konina. Kilogram uzyskanej własnym sumptem mączki „wychodzi” znacznie taniej niż sprowadzonej z odległości kilkuset kilometrów. Teraz gorczyca leży w magazynach, a zamrożone w niej pieniądze nie procentują.

Czarnowidztwo nie należy jednak do ulubionych zajęć dyrektora. Stanisław Jarosz nie uznaje powiedzenia, że w Polsce nic się nie da zrobić. Znalazł w Warszawie zakład, podległy tamtejszej WSS, który wyraził zgodę na produkcję opakowań zastępczych z tworzywa PCV, przeznaczonego do celów spożywczych. Jeszcze w listopadzie będzie rozmawiał w sprawie pierwszych dostaw. Nie jest to wprawdzie szczyt marzeń, ale jak się nie ma co się lubi...

Na przyszłość w Parczewie chcą się zabezpieczyć, budując małą suszarnię warzyw i chłodnię w koprodukcji z kapitałem zagranicznym. Złożyli już odpowiednią ofertę w Forum Inwestycyjnym „UNIDO”, funkcjonującym przy Ministerstwie Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej.

Dzisiaj dyrektor Jarosz zamierza przywieźć np. do Lublina dwa samochody z musztardą i na zasadzie handlu wymiennego — pięć pustych słoiczeków za jeden pełny — uzyskać potrzebne opakowania. Chętni z pewnością się znajdą, bo każdy chce mieć musztardę na święta, a nie po obiedzie.

DZIELIŁ I RZĄDZIŁ W „TRANSMOCIE”

Dokończenie ze str. 4

lub trzech osób (nazwisk nie pamiętam) opon samochodowych. Osoby i ich nazwiska oraz ilości opon były uzgodnione z moim zastępcą ds. technicznych (bezpośrednio odpowiedzialnym za sklep), który przekazał wcześniej do magazynu na specjalnej karteczce nazwiska klientów, a magazynier miał obowiązek przemieścić na stan sklepu uzgodnioną ilość opon. Jak się później okazało, magazynier samowolnie przyjął pieniądze od klientów. Oświadczam, że nigdy nie wydawałem polecenia pracownikom magazynu, aby sprzedawali materiały z magazynu i pobierali za to pieniądze”.

Oświadczenie magazynierki złożone do protokołu Izby Skarbowej:

„Pan prezes S. wydał telefonicznie polecenie panu R., który oświadczył mi, że mamy wydać klientom opony i przyjąć za nie pieniądze, a następnie wypisać je na sklep. Przyjęłam pieniądze za 29 opon, 13 dętek oraz inne części”...

Milicja zakończyła dochodzenie i przekazała akta do prokuratury. Czy prokurator sporządzi akt oskarżenia? Magazynierka jest przekonana, że będzie odpowiadać.

— Prezes S. przeszedł z końcem sierpnia do spółki o działalności podobnej do naszej — informują mnie w zarządzie spółdzielni — ale już zaczyna odczuwać jego zemstę. Najpierw złożył propozycję jednemu z kierowników, by wziął ze sobą 10 mechaników i przeszedł do niego. Zaproponował dwukrotnie wyższe zarobki. Na szczęście nikt się nie zdecydował, bo by nam przecież rozłożył robotę. Następnie wszedł w układ z kierownictwem Spółdzielni Mieszkaniowej „Kolejarz”. Od 1977 roku wynajmujemy od „Kolejarza” lokal użytkowy, w którym mieści się właśnie zakład na Kalinow, szczytnie. No i „Kolejarz” w październiku wypowiedział nam umowy najmu z terminem do końca grudnia. Proszę pani, my w tamtym zakładzie dobudowaliśmy dwa stanowiska do naprawy samochodów o powierzchni 64 m kw., wyłożyliśmy kupę pieniędzy na remonty, mamy zgodę Urzędu Miasta na dalszą rozbudowę zakładu. Przecież my z tego nie zrezygnujemy, będziemy walczyli. Pójdziemy nawet do sądu. Niech no się członkowie spółdzielni „Kolejarz” zastanowią, co dla nich jest lepsze: pewność i stabilizacja, którą my gwarantujemy, czy iluzoryczne zyski jakiejś „zoo”.

Rozmawiam z mechanikiem zatrudnionym w „Transmocie” od kilku lat: — Ja to wszystko obserwuję i szlag mnie trafia. Kiedy wreszcie wywalczymy w Polsce to, by kierownictwa, czy to spółdzielni, czy przedsiębiorstw, zajęły się nęszczie tym, czym powinny, a więc robotnikami? By wszystkie ich decyzje i działania nakierowane były na stworzenie robotnikowi godziwej pracy. Bo to przecież my wypracowujemy zysk. Kiedy wreszcie prezesi czy dyrektorzy skończą oglądać się wyłącznie na własne tyłki, prowadzić jakieś gierki i polityki, pochłaniające ich bez reszty? A wszystko to, proszę pani, bierze się z braku odpowiedzialności. Bo gdyby taki jeden z drugim za swoje decyzje i działania odpowiadał własną głową i kieszenią, to by się najpierw zastanowił, co robi. Niestety, w Polsce nie ma tego typu odpowiedzialności.

Izabella Wlazłowska

LISTY

„PKO naszą kasą”

Na łamach waszej gazety z dn. 8.11.89 nr 42 ukazała się krótka notatka pt. „PKO naszą kasą”, w której autor zwraca uwagę, i słusznie, na niewłaściwe pociągnięcie, jakie PKO zastosowało wobec najbardziej emerytów i rencistów. Sądzę, że właśnie to ci ludzie w 90 proc. posiadają r-ki czekowo-rozliczeniowe w PKO, co miało im ułatwić życie. I ułatwiono, a jak — to przedstawię. Odtóż od 1 listopada br. otrzymałam do dzisiaj 3 wyciągi a 150 zł (zwrot za wyciągi tychże), co czyni 450 zł. Tylko gdzie to jest uwidocznione, w jak i sposób dowiem się, ile naprawdę mam na koncie, skoro tej kwoty na wyciągu nie ma. W rzetelność jakichkolwiek tego typu placówek przestałam wierzyć. Dlaczego kamuflaż? Czy mogę ufać, że nie zostanie oszukana — w jaki sposób odliczać te 150 zł. Może Szanowna Redakcja wyjaśni tę sprawę do końca. To jest okradanie klientów! Pomijam już fakt, że oprecenowanie nie zmieniło się od ub. roku i wynosi nadal 22 proc., a przecież tu pieniądze trzymają najbardziej; kto naprawdę stanie w naszej obronie.

T. Malinowska
Lublin

Akowska wytwórnia broni w Lublinie

OSKARŻENI

Miroslaw Derecki

ZOLNIERZE Wojskowej Służby Ochrony Powstania, podlegli Józefowi Zakrzewskiemu, nie brali udziału w wyzwaniu Lublina, nie otrzymali z dowództwa AK rozkazu wejścia do akcji.

Od dnia wkroczenia do miasta radzieckich oraz polskich oddziałów „Ignac” zawieszono działalność podporządkowanych mu plutonów. A także przerwano produkcję zapalników do granatów. Swoją działalnością konspiracyjną się nie chwalił, a jej dowody rzeczowe ukrył w schowkach przy ul. Kotlarskiej 9 i przy Spacerowej 13. Tym bardziej, że już na przełomie lipca i sierpnia 1944 r. rozpoczęły się aresztowania żołnierzy Armii Krajowej oraz przedstawicieli Delegatury Rządu. Do więzienia trafił m.in. komendant lubelskiego okręgu AK, gen. Kazimierz Tumidajski („Marcin”) wraz ze swoim adiutantem. 6 listopada 1944 NKWD aresztowało szefa Oddziału I Sztabu KO AK, por. Roberta Bijasiewicza („Orlika”); notabene, podczas przesłuchania Bijasiewicza pytano m. in., czy jego zdaniem Wincenty Witos „zgodziłby się stanąć na czele Polaków”. Pewnego dnia Józef Zakrzewski otrzymał wiadomość od swoich zwierzchników z lat konspiracji, aby na razie, w tej sytuacji, nie ujawniać się i czekać na dalszy rozwój wypadków.

Mijały miesiące, życie powoli wracało do normy, chociaż wciąż jeszcze trwała wojna. Gdzieś na zachodnich terenach walczyli — powołani do polskiej armii — Tadeusz Jaszowski („Kapitan Biały”) oraz major Stanisław Rybiński; pierwszy — jako artylerzysta, drugi — w szeregach 9 pułku piechoty. Inni — jak Waclaw Topolski — ukrywali się; inni — siedzieli w więzieniu; jeszcze inni — jak Aleksander Holyst, w którego firmie w latach okupacji mieściła się składnica zapalników do „sidolówek” — odbiwali daleką wędrówkę do obozów Riazania i Wołogody...

Tymczasem majster Zakrzewski

wciąż tkwił na Dziesiątej, dzieląc czas pomiędzy pracę w swoim warsztacie modelarskim a spokojne (nareszcie) życie rodzinne. Halinka chodziła do szkoły powszechnej, Jurek został przyjęty do Szkoły Mechanicznej na Czwartku.

7 kwietnia 1945 r. wkroczyli do warsztatu przy ul. Kotlarskiej 9 funkcjonariusze NKWD. Józef Zakrzewski został aresztowany i osadzony w gmachu NKWD przy ul. Szopena 18. Konspiracyjnych schowków na Kotlarskiej i na Spacerowej nie odkryto. Jak się później okazało, jednym z głównych zarzutów, jaki mu stawiano, był fakt, że „po dniu 31 sierpnia 1944 r. do dnia zatrzymania brał udział w nielegalnym związku pod nazwą »Armia Krajowa« mającym na celu obalenie demokratycznego ustroju Państwa Polskiego”.

Ale to sformułowanie zamieszczono dopiero w szereg miesięcy później: w akcie oskarżenia przeciwko Zakrzewskiemu. Na razie ani on sam, ani jego rodzina, nie widzieli, na jakiej właściwie podstawie go aresztowano.

Nie wiadomo było też, gdzie Józef Zakrzewski został „posadzony”. Co kilka dni pani Teofila wystawała długie godziny w kolejce, składającej się z podobnych jej żon, siostr, matek, przed odpowiednim okienkiem w gmachu przy ul. Szopena 18, aby za każdym razem dowiedzieć się, że „nikogo takiego u nas nie ma”. Kamień w wodę, przepadł człowiek...

Dopiero w dwa tygodnie później został odsłonięty rabek tajemnicy. Oto 23 kwietnia, w dzień urodzin Jerzego, na ul. Spacerowej 13 pojawili się funkcjonariusze NKWD. Było ich dwóch, przyjechali „willysem”.

Było samo południe: stali przy furtce i czekali, aż pojawi się ktoś z domowników, bo mieszkanie było zamknięte; pani Teofila wyszła po zakupy, a dzieci były w szkole. Taki właśnie obraz miał na całe życie utkwić w pamięci powracającego po lekcjach do domu Jurka.

Weszli za nim do mieszkania, podali list. Na kartce papieru było napisane: „Kochana rodzino! Wydajcie wszystko naszym wyzwolicielom, żołnierzom radzieckim”. I podpis.

Ale to nie był charakter pisma ojca, który tak dobrze znał. Zorientował się, że ktoś tutaj w prymitywny sposób usiłuje z niego „zrobić balona”. I że widocznie ojciec nie puścił dotąd pary z ust skoro NKWDziści przynieśli ów rzekomy „list”, zamiast od razu skierować pierwsze kroki do skrytki pod piecem, która znajduje się dosłownie o metr od ich stóp. „Ale o co wam chodzi? My tutaj niczego nie mamy!” — powiedział, udając ogromne zdziwienie.

Wtedy zaczęli go bić. Bili po twarzy. Jurek zaciął się w sobie, ani jedna łza z oczu nie pociekła. „No dobrze — powiedział jeden z przybyszów — będziemy robili rewizję. Ale, jak coś znajdziemy, to pożałujesz!”.

Przewrócili w domu wszystko do góry nogami. Znaleźli tylko niemiecką lornetkę. A potem na strychu dogrzebali się gdzieś w zapadłym kącie kawałka anteny radiowej, leżącej tam jeszcze od czasów przedwojennych, z uwiązaniem na końcu porcelanowym izolatorem. Jeden z NKWDzistów zaczął bić tą anteną Jurka po całym cieple, gdzie popadnie, wciąż pytając, gdzie są ukryte broń i dokumenty. Jurek milczał.

Nagle w kuchni skrzypnęły drzwi wejściowe; weszła pani Teofila z zakupami: „Co tu się dzieje, Jurek, co to za ludzie?!”.

Podeszli do niej, znowu wyciągnęli list. „Panowie, co wy mi tu! To nie mój mąż pisal!”.

I nagle pani Teofila, zdesperowana, zaczęła krzyczeć na cały głos: „To jest list od mojego męża?! Od mojego męża, o którego codziennie pytam na Szopena, i tam mi mówią, że nie o »takim« nie wiedzą? A gdzie jest mój mąż? Wyście go, szubrawcy, zabili...!”.

Schowali pospiesznie „list”. Zatrzasnęli pani Teofilę przed nosem drzwi z kuchni do pokoju; usiedli przy stole; Jurkowi też kazali usiąść.

„Słuchaj — powiada jeden „przyjacielskim” tonem. — Powiedz, co wiesz, a my ci pomożemy, pieniądze ci damy, do szkoły posłemy, na człowieka ty wyjdiesz. Tylko powiedz, gdzie TO jest schowane!”.

Jurek — milczał. Wtedy znowu zmienili ton.

„Nie chcesz mówić? Wobec tego aresztujemy cię! Wychodź z nami, pojedziemy na NKWD!”.

Ale gdy stanęli z Jurkiem w drzwiach wiodących do kuchni, pani Teofila, zobaczywszy, co się święci, za-

częła krzyczeć tak, że słyszała ją cała ulica: „Gdzie nakaz aresztowania?! Gdzie takie prawo, żeby aresztować nieletnich! Ludzie — ratujcie! A wy — bandyci — gestapowcy, ja was zaraz ukropem obleję!!!”. Wepchnęła Jurka z powrotem do pokoju, własnym ciałem zatarasowała drzwi. Jurek, błyskawicznie wyskoczył oknem na ulicę, i tyle go widziano. Skrył się u kolegi na jednej z odległych uliczek Dziesiątej.

Tymczasem ci z NKWD, jak niepyszni, warcząc coś pod nosem na temat „sumaszdzkiej zenszczyzny”, wsiedli do „willysa” i odjechali.

Jurek do domu już nie wrócił. Po- stanowił uciec do rodziny matki, do Zamościa. Rodzina była także związana silnie z konspiracją; szczególnie mógł liczyć na jednego z wujów, zwanego popularnie wśród Zakrzewskich — „Gorylem”. Kiedy więc, wyjeżdżając z Lublina, poprosił kolegę, aby zawiadomił matkę, że jedzie „do Goryla”, był pewien, że pani Teofila zrozumie i będzie o niego spokojna.

W Zamościu wzięli Jurka pod swą opiekę hańcerze. Ubrany w harcerski mundur pojechał najpierw na obóz harcerski do podlubelskich Zemborzyc. Potem — na następny, zorganizowany gdzieś w podwarszawskich lasach. Tak się tułał przez kilka miesięcy. Az wreszcie matka napisała list do „Goryla”, że syn może już wracać, bo „trochę się uspokoiło, sprawa jest już nie w NKWD, tylko w UB, i przybiera lepszy obrót”.

Oczywiście matka nie napisała, że zwrót w sprawie Józefa Zakrzewskiego nastąpił po tym, jak za poradą porucznika z dawnej Komendy Obwodu (który zaszedł na ul. Spacerową, oświadczając że „na gorze” zdecydowano, aby aresztowani i ich rodziny wykazały się „dobrą wolą” wobec władz przed spodziewaną amnestią) ujawniła pozostającą dotychczas w ukryciu broń i amunicję.

Sporządzony 15 października 1945 r. przez funkcjonariusza Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Lublinie „akt zdawczo-odbiorczy” brzmiał następująco (cytuje go z wszystkimi błędami stylistycznymi, gramatycznymi i ortograficznymi):

„Dnia 15 października 1945 r. Komenda I-go Rejonu Obwodu Lublin A.K. oddała Wojewódzkiemu Urzędowi Bezpieczeństwa Publicznego w Lublinie broń i amunicję w następującej ilości:

Broń	
K.B.K. Niemieckie	3 sztuk
K.B.K. Rosyjskie	1 „
K.B.K. Francuskie	1 „
2. Amunicja	

Dokończenie ze str. 1

— Słuchaj powność, że referendum stałobawano?

— Znalaziono w różnych miejscach nadpalone kartki z głosami. Przez wiele dni nie było ostatecznych wyników. Stalin zażądał dostarczenia prawdziwych wyników. Chciał znać prawdę w perspektywie przyszłych wyborów. Nadpalone karty pokazano na posiedzeniu PKWN. Oszustwo było oczywiste i dlatego, że PSL liczyło prawie milion członków, więc nie mogło paść aż 67 proc. głosów popierających zniesienie senatu. Na wyniki czekali prawie dwa tygodnie.

— A jak przebiegały wybory?

— W tamtych czasach Stalin jeszcze osobiście dyrygował przebiegiem wydarzeń politycznych w Polsce. Poleciał przygotować zastępcze urny z głosami, aby nie bawić się w liczenie, podrzucanie kartek, itp. Zanim powiem o swoich doświadczeniach w wyborach, bo byłam oddelegowana na Śląsk do opieki nad czterema okręgami, wspomnę muszę o masowych aresztowaniach ludowców, o kontynuacji zabójstw. W okresie wyborów zamordowano 20 członków PSL. Na arenie politycznej przeciwko siłom demokratycznym jeszcze przed referendum zmontowano tzw. blok czterech partii, gdzie oczywiście prym wiodła PPR. Tuż przed wyborami pod kluczem znalazło się około dwóch tysięcy naszych działaczy, a dziesiątki tysięcy zatrzymywano i przesłuchiwa-

no.

— I wreszcie wybory...
— Był to majstersztyk w sferze szykan, utrudnień i przemocy. Muszę o tym opowiedzieć szerzej, bo to wiele pouczająca lekcja komunistycznych metod.

Otóż głosowało się wtedy na listy, a nie nazwiska, natomiast numerki do głosowania były drukowane w War-

szawie. Skupię się tylko na cudach, jakie wyprawiano z listami i numerkami. Oto przykłady z numerkami. Część numerków przeznaczonych dla nas, do Wrocławia, „mylnie” zaadresowano na Włocławek. W rezultacie dotarły do nas po wyborach. Inne skrzynie odkryli kolejarze w jakimś wagonie. Dałi nam znać. Szybko je przetransportowaliśmy i ukryli w ruinach miasta. Po godzinie wpadło na kolej UB, dopytując się o numerki. Ale już były zabezpieczone.

I trzeci przykład, rezultat absolutnego przypadku. Ponieważ wiedziałam, że w Warszawie mnożą się napady na lokale wyborcze, tłumaczone przez komunistów tym, że to „lud się burzy”, zadzwoniłam do szefa wrocławskiej bezpieki, aby dał nam ochronę. Sekretarka podniosła słuchawkę i oznajmiła, że szef właśnie rozmawia z drugiego szefa i muszę poczekać. Oczywiście, czekałam. Właśnie rozmawiał z komendą powiatową z Brzegu. Słyszałam doskonale, bo rozmowa była między miastowa, musiał niemal krzyczeć. Otóż szef UB polecał, aby samochód wiozący numerki z Warszawy zatrzymać na trasie pod byle pretekstem tak, aby kartki nie zdążyły dotrzeć w porę. Odłożyłam słuchawkę i zadzwoniłam po kwadransie, informując, że otrzymaliśmy właśnie wiadomość o próbie zatrzymania przesyłki, proszę więc o dopilnowanie lokalu oraz uniemożliwienie zatrzymania samochodu. Szef UB był zdumiony. Kilkakrotnie dawał mi do zrozumienia, że musimy mieć informatorów w najwyższych władzach PPR i UB!

Oczywiście nie uwierzyliśmy jego zapewnieniom o ochronie i polecono kierowcy już w Warszawie, aby jechał drogami okrężnymi. Z dwudniowym opóźnieniem, ale dotarli. Na tym nie koniec. Dostarczone numerki natych-

miast ukryliśmy. To było o 7 rano. Po trzech godzinach przyjechało UB. Zapytałam od razu „Czy szukacie numerków?” — „Tak — odpowiedzieli — bo na jednym z afiszów wydrukowano mylnie funkcję jednego z kandydatów jako wojewody, a on jest wicewojewodą”. Odpowiedziałam, że przybyli za późno, numerki zostały już rozesłane do lokali wyborczych.

W SFERZE SZYKAN

Potem były szykany z listami wyborczymi Rozwiezienie ich do lokali wyborczych było naszym wielkim wyzwaniem. Dwa przykłady. Wioząca jedną z przesyłek Anna Gadzielanka — moja koleżanka z Bychawy, która w czasie okupacji przechowywała żonę Mikołajczyka z jej synem Marianem — została zabrana z trasy przez UB i nie dojechała z listami. Jej kierowca już współpracował z UB. Zatrzymał samochód pod pretekstem awarii i czekał, aż tamci nadjadą. Inną grupę list otrzymał do rozwiezienia bechowiec zaprawiony w konspiracji. Na dworcu zauważył, że jest sledzony. Wówczas znajomej dziewczynie dyskretnie przekazał listy, prosząc, że gdyby coś się z nim stało, niech je dostarczy jego ojcu. Podeszł do kasy kupować bilet. Wtedy dwóch ubowców usiłowało wziąć go pod rękę. Wyrwał się, zaczął uciekać. Strzelali. Trafiony w nogę, upadł. Ale listy dotarły gdzie trzeba.

Przez cały czas przygotowań do wyborów myśmy już nie mieli żadnych złudzeń, w jakich warunkach będą przebiegać wybory. Szef UB szczerze

powiedział do mnie, że kaktus mu wyrośnie na dłoni, jeśli nam uda się rozwiązać listy! Kiedy jednak się udało, powiedział, że włosy mu na dłoni wyrosną, jak z jego terenu zostanie possem choć jeden PSL-owiec! Ja kandydowałam w Radomiu, ale bojówka ubowska napadła na lokal, zabrała listy i w rezultacie w Radomiu nie było kandydata PSL. W jednym z okręgów

chcieli unieważnić wyniki głosowań, bo rzekomo wielu głosujących było tu zameldowanych krócej niż wymagane dwa lata. W nocy wyciągnęliśmy z łózka sekretarza gminy i uzyskaliśmy potwierdzenie, że wszyscy wymienieni mają wymagany staż zamieszkania. Były jeszcze przeszkody z wyborem tzw. mężów zaufania. Każdy musiał mieć świadectwo moralności, a to wymagało zatwierdzenia przez UB. To byli przeważnie studenci i UB wszystkich namawiało do rezygnacji z tych funkcji, grożąc odebraniem stypendium, stancji czy wyłączeniem z uczelni.

— Jaki był rezultat wyborów?

— Do Sejmu wybrano 392 posłów Bloku i tylko 28 z PSL. Wzrastający terror podpowiadał nam, że czas nasz jest policzony. Byliśmy prześladowani w każdej dziedzinie.

— Krystyna Kerstenowa w wydanej w drugim obiegu książce pt. „Historia polityczna Polski” wspomina o wystąpieniu pani na sesji KRN we wrześniu 1946 roku, gdy stała sprawa zatwierdzenia Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Podawała pani

1 skrzynka z niekompletnymi zapalnikami do granatów
140 szt. zapalników do granatów
200 spłonek do granatów
60 spłonek do granatów niemieckich
30 spłonek do min
2 miny płaskie 400 gramowe
10 zapalników do granatów
73 granatów
15 paczek amunicji w taśmach po 300 szt. do K.M.
1500 szt. amunicji do K.B.
7 magazynów z amunicją do R.K.M.
30 kg amunicji do K.B. różne
71 szt. rakiet kolorowych
1 magazyn do P.M. I dwa ładowniki
4 maski gazowe
10 deko prochu
4 świec dymnych angielskie
7 (?) hełmów niemieckich
1 powielacz mechaniczny
1 radjostacja nadawcza uszkodzona lampą
16 ładownic niemieckich
1 aparat telefoniczny uszkodzony
Przyjął:
Oficer broni W.U.B.P. w Lublinie
Pikuła Mieczysław ppor.
Zdał:
Mieczysław Czeczot-Konarski (?)
[druga część nazwiska nie w pełni czytelna — przyp. M.D.]

23 października 1945 r. o godzinie 16.00 więzień śledczy Józef Zakrzewski został zwolniony z „aresztu prewencyjnego” na Zamku, jak głosi zachowana „karta zwolnienia”.

Nie oznaczało to bynajmniej darowania mu winy. Miał tylko odpowiadać „z wolnej stopy” w procesie przygotowywanym przeciwko niemu oraz Wacławowi Topolskiemu i Zenonowi Szymańskiemu, który to proces miał się rozpocząć w listopadzie.

„Ignac” był kompletnie wykończony fizycznie. Widniały na jego ciele ślady ciężkiego pobicia; szczególnie tego w pierwszym okresie po aresztowaniu. Miał skutki owych „przesłuchań” odczuwać do końca życia.

Przez pierwszych siedem tygodni pobytu w gmachu na Szopena 18 Zakrzewski nie miał prawa do mycia się, golenia, do świeżej bielizny. Dopiero później pozwolono pani Teofilę przynieść mężowi bieliznę do wymiany.

Akt oskarżenia (datowany 15 listopada 1945 r.) przeciwko Wacławowi Topolskiemu, Józefowi Zakrzewskiemu i Zenonowi Szymańskiemu rozpoczyna się w sposób następujący:

„Dnia 7 i 24 kwietnia 1945 r. zostali aresztowani przez żołnierzy Armii Czerwonej w Lublinie, Topolski Wacław, s. Stanisława, vel Gregiel Romuald, Zakrzewski Józef, s. Leona, i Szymański Zenon s. Bolesława, vel Le-

szczyński Mieczysław, podejrzani o przynależność do nielegalnego związku »AK«.

W toku śledztwa ustalono, że Topolski Wacław, vel Gregiel Romuald [...] brał udział w nielegalnej organizacji K.O.S. (Korpus Oporu Społecznego), mającej na celu obalenie demokratycznego ustroju Państwa Polskiego, pełniącej obowiązki komendanta KOS, okręgu lubelskiego [...]”.

Dalej jest o Józefie Zakrzewskim, którego jednakowoż o przynależność do „KOS” się nie oskarża. Natomiast Zenon Szymański miał należeć, poza „AK”, także do „NSZ”. Miał stamtąd otrzymać m.in. rozkaz „o przeprowadzeniu wywiadu na ob. Siecińskiego, czy mieszka na starym miejscu, który rzekomo miał być agentem N.K.W.D., na którego org. »NSZ« wydała wyrok śmierci”.

Akt oskarżenia kończył się stwierdzeniem, że:

„Na zasadzie art. 16 cytowanego Dekretu i art. 180 K.P.K.W. sprawa podlega rozpatrzeniu Wojskowego Sądu Okręgowego w Lublinie”.

Dokument podpisał — „Oficer śledczy W.U.B.P. w Lublinie — Huszcza J. por.”.

Onże stwierdzał w dopisanym poniżej „wykazie osób i dowodów” (były to: protokoły rewizji, protokoły oględzin, nielegalna gazeta pt. „Szczerbiec”, kenkarta na nazwisko Gregiel Romuald, rękopis z pseudonimami, kenkarta na nazwisko Leszczyński Mieczysław oraz dwa rękopisy Szymańskiego), że: „depozyty podczas rewizji zostały zabrane przez Władzę Sowieckie i w W.U.B.P. takowe się nie znajdują”.

W procesie, popartym wymienionymi tutaj dowodami, skazano Józefa Zakrzewskiego na trzy lata więzienia. Ponieważ objęła go amnestia, został zwolniony. Podobnie — po otrzymanym wyroku amnestionowany został Wacław Topolski.

Jurek Zakrzewski, po zrobieniu w 1948 r. matury, zgłosił się ochotniczo do Marynarki Wojennej. Marzyła mu się szkoła oficerska. W ankiecie personalnej napisał szczerze, że należał podczas okupacji do Armii Krajowej. To przesądziło o odrzuceniu jego podania. Wówczas spróbował dostać się do oficerskiej szkoły lotniczej w Dęblinie. Oczywiście — już bez chwalenia się akowską przeszłością.

Z listem polecającym od mieszkającego w Lublinie asa polskiego lotnictwa w Wielkiej Brytanii, majora Łokuciewskiego (który pracował wówczas, nie mogąc dostać żadnej innej pracy, w lubelskiej spółdzielni Wapno-Beton) zgłosił się do komendanta dęblińskiej szkoły, płk. Szczepana Ścibiora, kolegi



W ćwierć wieku później... Od lewej: Józef Zakrzewski, Halina Zakrzewska-Bartnik, Jerzy Zakrzewski, Teofila Zakrzewska oraz Franciszek Witucki — przed domem przy ul. Spacerowej 13.

Fot. Archiwum

Łokuciewskiego z lat wojny. Płk. Ścibior zapewnił go, że jeżeli tylko zda dobrze egzamin, zostanie przyjęty. I tak się stało.

Tylko że gdy Jerzy Zakrzewski był już na drugim roku szkoły lotniczej, dobrała się do niego wojskowa „informacja”. Za zatajenie przynależności do AK został ze szkoły wyrzucony. Było to, notabene, w okresie dęblińskiej „czystki” wśród podchorążych. Nie chodziło tylko o posiadanie „przeszłości okupacyjnej” lub „krewnych za granicą”. Np. współmieszkaniec Jurka z tej samej sali, podchorąży Stanisław Poskart, był krewnym czy powinowatym Mariana Spychalskiego. I ten fakt także sprawił, że musiał on opuścić szkołę.

Co się zaś tyczy pułkownika Szczepana Ścibiora, wybitnego pilota, doświadczanego dowódcy z okresu września 1939 r. oraz walk powietrznych nad Wielką Brytanią, który po wojnie wrócił do kraju i wstąpił do Ludowego Wojska Polskiego (był m.in. zastępcą ds. liniowych w pułku lotniczym w Łodzi, potem — dowódcą 7 pułku bombowego w Łęczycy), to został on w jakiś czas później aresztowany i wraz z osiemnastoma innymi wyższymi oficerami lotnictwa i marynarki wojennej skazany na śmierć wyrokiem Najwyższego Sądu Wojskowego w sfaingowanym procesie. (Zrehabilitowano go pośmiertelnie w 1956 r.).

Materiały i urządzenia, jakimi Józef Zakrzewski posługiwał się przy produ-

kowaniu fałszywych kenkart oraz przy produkcji zapalników do „sidołówek”, spoczywały — nie odkryte przez nikogo — w schowku pod piecem w pokoju przy ul. Spacerowej 13 aż do 1965 r. Wtedy to podporucznik Armii Krajowej „Ignac” zdecydował się przekazać cały ów unikalny zestaw — Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Dyrekcja Muzeum wystąpiła z propozycją zakupu. Oferowano niebagatelną wówczas sumę pięćdziesięciu tysięcy złotych. Ale Józef Zakrzewski pieniędzy przyjąć nie chciał. Powiedział: „To, co robiłem, robiłem nie dla pieniędzy, tylko — dla Polski. I teraz sprzęt, który mi kiedyś Polska powierzyła — Polsce oddaję”.

(Odcinek 5. — Koniec)

Przy pisaniu materiału o konspiracyjnej „fabryce broni” AK korzystałem z bezpośrednich relacji Teofilii Zakrzewskiej, Jerze-
Zakrzewskiego (oraz z ich domowego archiwum), Heleny Małeckiej-Hołyńskiej, Anny Springerówny-Mańkowskiej. Również z relacji Roberta Błasiewicza, Wacława Topolskiego, Jana Litwiniuka, Ireny Antoszewskiej-Rembarzowej, Leona Rembarza, Józefa Zakrzewskiego, Mieczysława Żurawskiego — relacji znajdujących się w zbiorach specjalnych Biblioteki im. H. Łopacińskiego w Lublinie. (Zespół Ireneusza Cabana i Zygmunta Mańkowskiego). A także z książki I. Cabana i Z. Mańkowskiego — „Związek Walki Zbrojnej i Armia Krajowa w Okręgu Lubelskim 1939—1944”, Lublin 1971; z artykułu Z. Mańkowskiego — „Lubelskie granaty”, w „Kalendarzu Lubelskim” z r. 1965, oraz z napisanym przez Zbigniewa Damskiego rozdziale „Warsztat na Kotlarskiej” — w wydanej w 1972 r. przez MON zbiorowej książce „Rodziny patriotów”.

przykłady ingerencji cenzorskich w „Gazecie Ludowej”...

— Oczywiście pamiętam to wystąpienie. Pokazałam jeden z numerów gazety, z którego po ingerencji cenzury pozostała ledwo czwarta część tekstów. Skreślono mowy poselskie oraz ich omówienia. Ogromnie utrudniony był także kolportaż naszej prasy.

— I ostatnim etapem była fizyczna

wego w Polsce, w kontekście mającego się odbyć Kongresu ZSL. Jest kilka grup ludowców, nie wyłączając ZSL, którzy chcą przyjąć nazwę: PSL.*

— Z zainteresowaniem będę śledzić zjazd zetesełowców. Byłoby źle, gdyby zawłaszczyli sobie naszą nazwę i program. Wiosną ma odbyć się kongres ruchu ludowego. Tam powinno dojść do powstania jednego PSL.

dzenie. Szkoda, że tak późno. Musi też dojść do odbudowy prawdziwej spółdzielczości. Przedtem trzeba odbudować dobre i właściwe imię samego słowa „spółdzielczość”. Na wsi jest ono dotąd symbolem marnotrawstwa, braku samodzielnosci.

— Odejdźmy od polityki. Może coś o sobie: jako matce, babci...

— Mam dwóch synów. Jeden mieszka w Warszawie, drugi w Belgii, jest chemikiem. Wnuki też są.

— Najbliższe plany?

— W grudniu wyjeżdżam do Indii odpocząć w mojej jaskini.

— Przyznam, że nie rozumiem!

— Zaraz pan zrozumie. Indie to moja wielka miłość. Buszowałam tam w poszukiwaniu „krewnych” pewnego gatunku małp dawno już wymarłych, pisałam z tego pracę naukową. Od osiemnastu lat każdego roku wyjeżdżam tam odpocząć i leczyć się metodami medycyny tybetańskiej. Zatrzymuję się po przyjeździe do Indii u mojej przyjaciółki, siostry Dalajlamy. Ale potem uciekam do swojej jaskini. Mieści się na stoku góry Aromacjala, w pobliżu miasta Tirumannawala — sześć godzin jazdy autobusem na południe od Madrasu. W pierwszych latach mieszkałam w jaskini położonej niżej, ale przeniosłam się do znacznie dzikszej, zupełnie nie nawiedzanej przez ludzi.

— Czym się pani tam żywi?
— Owoce, produkty zbożowe surowa woda... Radzę spróbować!

— Dziękuję, brak mi jaskini. A noce! Strach nie oblatuje?

— Nie. Po zapadnięciu zmroku, na górę nie wchodzi żadne skarby najsilniejszego Indyjczyka! A to dlatego, że górę uaronia przed nocnym instrumencie siły mistyczne. Wiara i strach przed tymi siłami są silniejsze niż wszelkie pokusy. Zresztą tylko kilka osób z osady zna do mnie ścieżkę. Co parę dni donoszą mi żywność. Może pan to potraktować jako zwidy starszej pani, ale zapewniam, że ja, która nigdy nie mieszałam w Europie skłonności parapsychologicznych, tam odczuwam więź z dowolnie pomyslanymi osobami. Zawsze na przykład wiem, kto z mieszkańców danego dnia przyjdzie do jaskini. Jest to wzajemne, wielokrotnie potwierdzone przez tubylców.

Kiedyś poczułam jakieś dolegliwości i zeszałam na dół do miejscowej przychodni. Znajomy lekarz z tej przychodni już czekał na mnie. Wiedział, że przyjdę. Czy pan to potrafi wyjaśnić inaczej niż telepatią, parapsychologią?

— A jak wygląda dzień powszedni w jaskini?

— Rozmyślam, zwiedzam swoją przeszłość. A poza tym patrzę na świat z pewnej wysokości, jaką daje góra, pozwala dodatkowo zdystansować się do doczesności. Nie, nie ma mowy o nudzie!

— Czy pisze pani pamiętniki?

— Po co? Pisanie pamiętników to oznaka starości i egocentryzmu.

— Życzę przyjemnej podróży i dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: Henryk Pająk

*Rozmowa odbyła się przed Kongresem ZSL.

I PRZEMOCY

rozprawa z peeselowką opozycją.

— Aresztowano Mierzwę, Buczka, redaktora naczelnego „Gazety Ludowej”. W tej sytuacji zrozumiała jest decyzja Mikołajczyka o ucieczce z kraju.

— Jak to się odbyło?

— Skorzystał z transportu ambasady amerykańskiej. Mógł uciekać albo w trumnach obywateli amerykańskich, albo w wozie meblowym. Wybrał to drugie. W Gdańsku pomogli mu stoczniowcy i odplynął. Po trzech dniach odezwał się w BBC. Uciekli też inni: Bażyński, Bańczyk, Korboński. Byli to ludzie tak śledzeni, że można powątpiewać, czy ich ucieczki nie odbyły się za cichą wiedzą UB. Po prostu, mając już zwycięstwo w garści, pozwolili im zniknąć ze sceny i udawali, że nie wiedzą o ucieczkach.

— A co było z panią?

— Było zwyczajnie — więzienie mokotowskie. Potem praca naukowa, doktorat, wyjazd do Belgii w 1962 roku. Ponieważ nie chciano mi odnowić paszportu, pozostałam w czasie przyjęłam obywatelstwo belgijskie.

— W naszej rozmowie nie obejdzie się bez pytania o jedność ruchu ludo-

— Czy przyszedłemu PSL nie będzie za ciasto na wsi razem z NSZZ „Solidarność” Rolników Indywidualnych?

— Nie widzę powodów do obaw. PSL to partia chłopska, a „Solidarność” Rolników Indywidualnych to chłopski związek zawodowy. Obydwie te siły będą miały przed sobą odrębne i trudne zadania.

— Powołujecie się na agraryzm powojennego PSL. Czy nie stracił on na aktualności w nowych warunkach?

— Nie tylko nie stracił, lecz te nowe warunki wręcz udowodniły jego ówczesną, jak i obecną zasadność. Nasz agraryzm stawiał na rolnictwo, na gospodarstwo rodzinne, ze stopniowym przechodzeniem kraju z gospodarki rolno-przemysłowej do przemysłowo-rolnej. Gdyby wtedy przyjęto nasz program, nie byłoby kryzysu rolnictwa, upadku gospodarczego oraz katastrofy ekologicznej. Do tej katastrofy musiało dojść w rezultacie gwałtownego rozwoju ciężkich przemysłów surowcowych, przy niemal programowym niszczeniu indywidualnego rolnictwa. Tamten program PSL, jego perspektywiczna celowość, teraz właśnie znalazły potwier-

26X 89, w sali filharmonii swoje święto — Dzień Szkoły i Jubileusz 45-lecia — uroczyste obchodziła Państwowa Szkoła Muzyczna st. podst. i lic. im. K. Lipińskiego w Lublinie.

Powołana do życia decyzją ministra kultury i sztuki PKWN, Wincentego Rzymowskiego, w sierpniu 1944 roku — przeszła wszelkie możliwe modyfikacje i reformy, by dziś skutecznie bronić swych praw do perfekcji zawodowej i funkcjonalności społecznej — jest to niezmiennie dążenie ku wyżynom, a więc i obecności na muzycznym forum kraju i poza jego granicami, także ukłon w stronę tradycji, Instytutu Muzycznego, założonego w 1898 roku (!) przez Lubelskie Towarzystwo Muzyczne im. H. Wieniawskiego.

W ciągu ostatnich 10 lat uczniowie Państwowej Szkoły Muzycznej stopnia podst. i lic. im. K. Lipińskiego zdobyli wiele laurów w międzynarodowych i ogólnopolskich konkursach muzycznych, m.in. w Neerpelt — Belgia (Orkiestra pod dykcją M. Pomorskiego), w Arezzo i Atenach (Chór „Pólnutki” pod dyr. A. Jaworskiej), w Legnicy, Międzyzdrojach, Szczecinie, Elblągu, Lublinie, Wrocławiu. Młodzież szkoły koncertowała w Szwajcarii (dwukrotnie!), Belgii, Włoszech, Grecji, Szwecji, NRD (3 razy), CSRS, ZSRR, RFN i na Węgrzech, wszędzie pozostawiając widoczny ślad — w sercach i świadomości.

W ciągu minionych lat do nazwisk zasłużonych postaci szkoły — Edwarda Zienkowskiego, Jacka Kasprzyka, Elżbiety Karaś — dołączyły nowe: Andrzeja Bereżyńskiego, Tomasza Łuka-

siewicza, Artura Konowalika, Joanny Trzcionkowskiej, Joanny Kurkowiec, Piotra Rachonia, Doroty Dobosz, Mariusza Wójtowicza...

26 października, na niezmiennie serdecznej i otwartej estradzie Filharmonii Lubelskiej, w jubileuszowym programie wystąpiła orkiestra szkoły pod dykcją jej wychowanka, obecnie studenta IV roku Akademii Muzycznej w Warszawie (w klasie prof. H. Czyży), Piotra Wijatkowskiego, z solistami —

gólnopolskim Konkursie w Warszawie.

Piotr Wijatkowski łączy studia z owocną pracą w rodzinnej szkole. Na przełomie czerwca i lipca br. z dużym sukcesem poprowadził tournée orkiestry szkoły po Krymie, dokonując m.in. prestiżowego nagrania dla TV Białorusi i Ukrainy. Na estradzie Filharmonii Lubelskiej pojawił się jako muzyczny wódz i dyktator, po raz pierwszy, i to w dniu Jubileuszu i Patrona Szkoły!

45 LAT MINĘŁO

Teresa Księska

uczniami zaprzyjaźnionej Jugend Musikschule w Hamburgu: I. Spiess, I. Holtzapfel, A. Kleinwächter, P. Jovanowska — i Dominiką Falger z klasy VI lubelskiej szkoły.

Tego dnia, w uroczystościach przedpołudniowych, w sali koncertowej szkoły wystąpiła inna jej absolwentka, Marlena Rekiel, dziś studentka Akademii Muzycznej w Łodzi. Z wielką satysfakcją i uwagą (na pewno też i dumą!) słuchano młodej pianistki. Grała utwory Debussyego, Schumann, Rachmaninowa i Chopina. Marlena ma przed sobą bojowe zadanie — zdobyć stypendium chopinowskiego w O-

Orkiestra Szkoły i jej soliści pod dykcją Piotra Wijatkowskiego wykonali: „Koncert na dwa flety i orkiestrę” D. Cimarosa, „IV koncert brandenburski G-dur” J. S. Bacha, „Koncert na orkiestrę” G. Bacewicz, „Trzy utwory w dawnym stylu” H. M. Góreckiego, „Orawę” W. Kilara. Był to prawdziwy pokaz wszystkiego, co najlepsze — kompetencji i wrażliwości dyrygenta, talentu i pasji grania młodzieży, wspaniałej rozmówianej w muzyce młodości i entuzjazmu. To, co mogło być zaledwie jednym z przedmiotów zawodowych, stało się biletem wizytowym szkoły...

Dokończenie ze str. 2—3
miatin). Ja podam przykład z literatury polskiej, który o tym systemie mówi równie dobrze albo i lepiej. Ta książka jest „Pojedynek” Jana Józefa Szczepańskiego, najlepsza polska książka obrachunkowa.

J. J. Sz.: — Jestem bardzo szczęśliwy, że mogłem to usłyszeć, ale też i zakłopotany. Żeby zejść z tego diapazonu — skoro mowa o „Pojedynku”, powiem, że jest on — z punktu widzenia jakości literackiej — jedną ze słabszych moich książek. Rozwinął się ze snu, który miałem. Warunki nie sprzyjały publikacji tego tekstu, ale nastąpił październik, odwiłz, przyszedł moment, kiedy cenzura przestała funkcjonować. Zadzwoń do mnie kierownik literacki wydawnictwa, który wcześniej powiedział, że utwór nie ma szans na publikację, i mówi: „drukujemy”. Zamim książka się ukazała, cenzura skonsolidowała się. Zadzwońono, że cenzor przyjeździe do mnie przedyskutować sporne kwestie — to się nigdy nie zdarza. Rozmowa wyglądała tak: cenzor siedzi w jednym pokoju, ja w drugim — żeby mu niczego nie zasugerować. Między nami kursuje redaktor noszący karteczki, na których wymieniamy uwagi. Otrzymuję pierwszą karteczkę z wykazem stron budzących zastrzeżenia i widzę, że to jedna trzecia objętości tekstu. W tej sytuacji postanawiam zrezygnować z wydania, ale przedstawiciel wydawnictwa mnie przekonuje: „Niech pan zapyta, jaki jest zarzut”. Otrzymuję karteczkę: „Książka jest antypaństwowa”. Odpowiadam: „Wiem, to było moim zamierzeniem”.

Sytuacja patowa, ale pośrednik nalega, żeby zgodził się na napisanie krótkiej przedmowy, w której wyjaśnię, że w tekście nie ma aluzji do rządu. „Przecież on nie jest idiotą” — mówię. „Niech pan napisze, co pan sądzi” — wydawnictwo włożyło w procedurę sporo pieniędzy. Cenzor się zgodził. Po jakimś czasie dostaję nowe zaproszenie na rozmowę: redaktor tłumaczy się: „Wie pan, nowy kłopot, cenzura byłaby skłonna puścić książkę pod warunkiem, że pan wycofa przedmowę”.

SPOTKANIE w Duszpasterstwie Środowisk Twórczych (10 XI godz. 10.00), poświęcone było problemom związanym z działalnością Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Stowarzyszenie pracuje w oparciu o pięć oddziałów terenowych w Gdańsku, Warszawie, Wrocławiu, Krakowie i Poznaniu. W najbliższym czasie powiniem powstać oddział w Lublinie. Mimo odbytej rozmowy pomiędzy Janem Józefem Szczepańskim i Wojciechem Żukrowskim (na prośbę pani minister kultury i sztuki), sprawa zjednoczenia środowiska ludzi piszących

pozostaje nadal nierozstrzygnięta. ZLP wysunął nawet propozycję wspólnego użytkowania kamieniczki literatów w Warszawie, należącej uprzednio do „starego” ZLP, lecz trudno się dziwić, że pisarze skupieni w SPP nie chcieli z niej skorzystać.

Sądzę, że mniej w tej decyzji zwykłej, ludzkiej małostkowości, problem jest głębszy: chodzi o wybór moralny. Sam nie chciałbym spotykać na co dzień ludzi, którzy przyłożyli rękę do

ZLP nie mieliby wstąpić do SPP, jeżeli tego pragną.

O tym, jak nieproste były wówczas wybory, niech świadczy fakt, iż w niedługi czas potem, kiedy p. Królikowski dowiadywał się w samolocie nad Brukselą o rozwiązaniu ZLP, inny lubelski pisarz nie dumał nad dylematem: wstąpić nie wstąpić, tylko czy jego dzieci mają jeść mięso dwa razy w tygodniu, czy też cztery razy. (Niezrzeszonym płacono wówczas 1000 zł

JAN JÓZEF SZCZEPAŃSKI W LUBLINIE

niszczenia starego związku, służącego przecież narodowi. Nie chodzi o wszystkich członków ZLP, lecz o tych, którzy pisali donosy, oszczerce artykuły, rzucali pomówienia, a z którymi pisarze należący do SPP — jak zauważył J. J. Szczepański — musieliby się spotykać w tym samym budynku.

Dosyć długa wypowiedź prezesa SPP, bardzo rzeczowa, utrzymana była w tonie dalekim od zacietrzewienia, złości, nie zauważyłem w niej cienia szyderstwa. Nie mogę tego powiedzieć o wystąpieniu p. Bohdana Królikowskiego, prezesa lubelskiego oddziału ZLP przed jego rozwiązaniem, któremu pomieszały się świeczki z ogarkami (te od Pana Boga i od diabła), i parę innych spraw. Obecni na sali członkowie nowego ZLP, których można by określić mianem „ludzi środka”, nie mający żadnego udziału w niszczeniu starego związku, przeciwnie, zaangażowani w rzucając pomosty pomiędzy zwaśnionymi stronami, mogli poczuć się dotknięci.

Wystąpienie to okazało się tym bardziej dziwne, gdy pan Szczepański wyznał, iż nie widzi przeszkód, dla których nieskompromitowani członkowie

za spotkanie autorskie, zrzeszeni pobierali 2600 zł, przy dwóch, trzech spotkaniach miesięcznie, była to już jakaś suma).

Nie chcę zastanawiać się nad celem wystąpienia p. Królikowskiego; być może w ten sposób ujawniło się tylko ciśnienie minionych siedmiu lat. Podobnie jak Szczepański nie uważam, że powinien istnieć tylko jeden związek literatów, może ich być dwa lub trzy, jeżeli to odpowiada środowisku. Jestem natomiast pewien, że jedynym wynikiem takiego postawienia sprawy przez Królikowskiego będzie pogłębienie nieufności między pisarzami lubelskiego środowiska oraz pogorszenie i tak nie najlepszych stosunków.

I jeszcze jeden wniosek: na pewno powstanie tutaj oddział SPP, ale jeżeli pokolenie trzydziesto-, czterdziestolatków nie narzuci jego działalności swojego stylu, tę działalność widzę w bardzo kwaśnej perspektywie. W tym wszystkim zapodziała się prawda oczywista: nie przynależność pisarza do takiego a nie innego związku czyni jego twórczość wartościową; o tej świadczą książki.

Adam W. Kulik

OGŁOSZENIA DROBNE

Biuro pośrednictwa, zamiany mieszkań, kupno — sprzedaż, wynajmu. Lublin, tel. 71-86-12. 26552/G-4

Kożuchy, odzież skórzana — renowacja. Lublin, Miła 10. 23350/G-10

Kupię zegarki: Czapek, Patek

— Philippe, Lange i Synowie. Oferty 29147 Biuro Ogłoszeń. 29147/G

Praca chałupnicza dla każdego. Koperta plus znaczek. TRANS-AM 20-473 Lublin 49 box 19. 28787/G

SPRZEDAŻ

Ładę 2101 (1986). Tel. 77-44-40. 29475/G

INFORMATOR KULTURALNY

TEATRY

W LUBLINIE

Teatr im. J. Osterwy: 7.12. godz. 18: „Czego nie widać” Michaela Frayna; reż. Andrzej Zaorski. 8—10.12. godz. 19: „Portret” Sławomira Mrożka; reż. Jacek Andrucki. Scena Reduta godz. 16.30: „Poobiednie igraszki” Romy Mahieu. 12—13.12. godz. 18: „Gałązka rozmarynu” Zygmunta Nowakowskiego; reż. Roman Kordziński.

Teatr Lalki i Aktora: 7—8.12. godz. 10, 10.12. godz. 12, 13.12. godz. 10, 12: „Ural Batyr”, baśń baszkirska; reż. Włodzimierz Felenczak.

Teatr Muzyczny: 7—8.12. godz. 10, 12.30: „Czarodziejski pierścień” L. Kaszyckiego; reż. Zbigniew Czeski. 9—10.12. godz. 19: „Paganini” Ferenc Lehara. 11—13.12. godz. 19: „Bal w Savoy’u” Paula Abrahama; reż. Ryszard Zarewicz.

MUZYKA

W LUBLINIE

Filharmonia — 7—8.12. godz. 12, 17 — koncert dla dzieci i dorosłych pt. „Hanna i Antoni Gucwiński zapraszają”. Wykonawcy: Orkiestra PFL pod dykcją Ryszarda Komorowskiego, Mieczysław Dawidowicz — fortepian, Teresa Księska — słowo i fortepian. Program koncertu: C. Saint-Saens „Karnawał zwierząt”, W. Krzewiński — marsz na tenat „Sza dzieweczka”. B. Klimczuk — E. Czerny — „Figlarne skrzypeczki”.

Aula im. Stefana Kardynała Wyszyńskiego (KUL, al. Racławicka 14) — recital organowy Mirosława Pietkiewicza z Łodzi. Program koncertu: Fantazja polska „Pasterka na Wawelu” F. Nowowiejskiego; Al fresco. Inwokacja. Chorał. Continuum oraz Finale B. Pietrzaka; Partia „Jesu meine Freude” J. G. Walthera; Passacaglia c-moll J. S. Bacha; „La Nativite du Seigneur”, Les Enfants de Dieu, Les Anges, Jesus accepte la soufranc Les Mages O. Messiaena; Effata S. C. Schönberga.

WYSTAWY

W LUBLINIE

Muzeum im. J. Czechowicza — wystawa limorytu Stanisława Baldygi.
Muzeum na Zamku — wystawa poświęcona 50 rocznicy Września pt. „Broń i barwa Wojska Polskiego w roku 1939”.

Galeria BWA (ul. Narutowicza 4) — wystawa grafiki Zofii Kopel-Szulc i Henryka Szulca.

Galeria Labirynt (ul. Grodzka 3) — 13.12. godz. 18 — otwarcie wystawy rzeźby Joanny Przybyły.

Galeria Grodzka (ul. Grodzka 5a) — wystawa malarstwa i instalacji Krzysztofa Rumowskiego.

Galeria TPSP (ul. Grodzka 32,34) — wystawa malarstwa Jana Popka.

Archiwum Państwowe (ul. Trybunalska 13) — wystawa pt. „Lubelski Wrzesień 1939 r. — Społeczeństwo, Wojna, Okupanci”.

Biblioteka Uniwersytecka KUL (ul. Chopina 27) — wystawa grafiki książkowej Zofii Kopel-Szulc i Henryka Szulca.

Biblioteka Główna UMCS (Muzeum) — wystawa pt. „Rewolucja Francuska 1789—1989”.

W BIAŁEJ PODLASKIEJ

Galeria Sztuki Współczesnej — wystawa pt. „Tematy muzyczne w malarstwie” (czynna do 10.12).

W CHELMIE

Muzeum Okręgowe (ul. Kasprzaka 4) — wystawa pt. „Panorama chwały Oręża Polskiego w malarstwie Stanisława Bodeza”.
Muzeum Okręgowe (ul. Lubelska 57) — wystawa pt. „Jacwiel i Litwa w okresie starożytnym i we wczesnym Średniowieczu” (ze zbiorów Państwowego Muzeum Archeologicznego w Warszawie).

W ZAMOŚCIU

BWA — wystawa malarstwa Tadeusza Dominika z Warszawy.
Nowa Siedziba Muzeum Okręgowego (Kamienice Ormiańskie 25,28) — wystawa pt. „Ocalone dla przyszłości”; wystawa pt. „Zamość — historia renowacji”.

RELACJE O „RELACJACH”

Wiemy, kto nas nie lubi w Lublinie, i wiemy dlaczego. Z prasy dowiedzieliśmy się ostatnio, że lubią nas w Krakowie, ale nie wiemy dlaczego.

M. A. Styks w „Zyciu Literackim” (nr 45) napisał: „Wzorem być mogą gorąco pisane materiały lubelskich RELACJI, gdzie nerw dziennikarski nie zawodzi, jak przewidywałem był”.

W „Zdaniu” (nr 10) przeczytaliśmy: „Relacje” to pismo naprawdę dobre — ale nie dlatego, że wychodzi w Lublinie, tylko dlatego, że robią je rozsądni ludzie”.

Krakusom — piękne dzięki, a Lublin znany na tyle dobrze, że wiemy, kto tupie na „Relacje” za to, że nerwy psują i że są nierozsądne.

Czwartek

7 GRUDNIA

PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Głina z wyższych sfer”
10.20 Domator
16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: Kwant oraz film z serii: „Świat, w którym żyjemy”
17.15 Teleexpress
17.30 Patrol — wojskowy magazyn public.
17.55 „Poza rok 2000” — serial dok. prod. australijskiej
18.25 Magazyn katolicki
19.45 10 minut
19.00 Dobranoc: Przygody rozbójnika Rumcajsa
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy
19.30 Wiadomości
20.05 „Głina z wyższych sfer” (10 — ostatni) serial krym. prod. ang.
21.00 Sport
21.10 Pegaz
21.55 Dekalog Kieślowskiego
22.25 Goście festiwalu — Karlshamn

23.00 Dt — echa dnia
23.20 Język angielski (8)

PROGRAM II

16.55 Język rosyjski (8)
17.25 Program dnia
17.30 Skarby kultury polskiej: „W Nieborowie” — film dok.
18.00 Program lokalny
18.30 Wszystko co nasze — tradycja
19.00 Magazyn „102”
19.30 Zielone kino: Filmowa pracownia Karola Marczyka
20.00 Wielki sport
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 „Czerwoni” (1) — film fab. prod. USA Reż. Warren Beatty. Wyk.: Warren Beatty, Diane Keaton, Edward Herrmann, Jack Nicholson
23.20 Komentarz dnia

Piątek

8 GRUDNIA
PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Poza układem” — film fab. TVP
10.15 Domator
18.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: Rambit — teleturniej
16.50 Dla dzieci: Okienko Pankracego
17.15 Teleexpress
17.30 Raport
17.55 „Niech Żyją Tatry” — film dok.
18.30 Stop — magazyn konsumenta
18.50 Weekend w „Jedynce”
19.00 Dobranoc: Węgierskie bajeczki
19.10 Monitor rządowy
19.30 Wiadomości
20.05 Zwierciadło czasu: „Szpryca” — film fab. prod. ZSRR
21.25 Sport
21.35 Kontrapunkt
22.05 Spór o jutro: Otwarte studio (1)
23.05 Dt — echa dnia
23.25 Spór o jutro: Otwarte studio (cd.)

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Wzroczkowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
18.00 Program lokalny
18.30 Program public.
18.50 Szansa — dziesięć miesięcy
19.30 Dookoła świata: U wrót Pacyfiku
20.00 Magazyn „Piątek”
21.30 Panorama dnia
21.45 „Czerwoni” (2) — film fab. prod. USA
23.20 Komentarz dnia

Sobota

9 GRUDNIA
PROGRAM I

8.00 Tydzień na działce
8.20 Na zdrowie
8.55 Program dnia
9.00 Drops — magazyn dla dzieci i młodzieży, a w nim „Jelonek” (5) — serial prod. jugosl.
10.30 Dt — wiadomości
10.40 „Uśmiech smoka” — film dok.
11.00 Bellona — wojskowy program public.
11.30 Z Polski rodem — magazyn polonijny
12.00 „Przed zjazdem wiejskiej Solidarności” — program public.
12.30 „Łowcy faktów” — program public.
13.05 Szkoła mistrzów: Janusz Zaorski
13.25 Telewizyjny Teatr Prozy: Stanisław Dygat — „Rozmyślenia przy goleniu”. Reż. Adam Hanuszkiewicz. Wyk.: Adam Hanuszkiewicz, Andrzej Łapicki, Daniel Olbrychski, Andrzej Szczepkowski, Jan Swiderski, Jerzy Wasowski
14.30 Polityka politycy — program Andrzeja Bilika
15.00 Program dnia
15.05 Filmy o miłości: „Pociąg” — prod. pol.

16.40 Do trzech razy sztuka
17.15 Teleexpress
17.30 Telewizyjna giełda piosenki: Premie i premiery
18.30 Butik
19.00 Dobranoc: Przygody Misia Colargola
19.10 Z kamerą wśród zwierząt: Lamparty
19.30 Wiadomości
20.05 „Zgadnij, kto przyjdzie na obiad” — film fab. prod. USA. Reż. Stanley Kramer. Wyk.: Spencer Tracy, Katherine Hepburn i inni
21.50 Sport — m.in. relacja z losowania piłkarskich Mistrzostw Świata — Italia '90
22.35 Tydzień w polityce
22.45 Telegazeta i jutro w programie
22.55—0.50 Klub filmowy: „Dzień w selsny” — film fab. prod. USA. Reż. Robert Altman. Wyk.: Carol Burnett, Amy Stryker, Mia Farrow i inni

PROGRAM II

14.10 W świecie ciszy
14.35 5 — 10 — 15 — program dla dzieci i młodzieży
16.05 Małe kino. Patagońskie żywioły: Chaltum — znaczy błękitny — film dok.
16.25 Telewizyjny koncert życzeń
17.00 Z batutą i humorem (2) — program muzyczny
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Wielka gra — teleturniej
19.30 Alfa i omega
20.00 Koncerty Fortepianowe Grażyny Bacewicz.
21.00 Muzyka i polityka: Pieśń z dna piekła
21.30 Panorama dnia
21.50 „Bogate biedactwo, czyli historia życia Barbary Hutton” (5) — serial prod. USA
22.40 Jacek Słwora: „Co jest za tym murem” — „Cieszę się z szachów, stale nim wygrywam” — monodram w reż. Stefana Szlachtyca. Wyk.: Zdzisław Wardeja
23.00—23.05 Komentarz dnia

Niedziela

10 GRUDNIA
PROGRAM I

8.55 Program dnia
9.00 Dla młodych widzów: Teleranek, a w nim „Janka” (12) — serial prod. pol.
10.30 Dt — wiadomości
10.35 Jim Henson przedstawia świat teatru lalkowego: „Spotkanie z Siergiejem Obrazowem” — film dok. prod. ang.

11.30 Kraj za miastem
12.00 Telewizyjny koncert życzeń
12.45 Teatr Młodego Widza: Andrzej Maleszka — „Mechaniczna Magdalena” (1)

13.40 Sportowa niedziela
14.30 Morze — magazyn
14.50 Fotomagazyn „Powiększenie”
15.10 Antena
15.35 „Panna dziedziczka” (30) — serial prod. brazył.
17.30 Koncert na szczęście
18.30 Wideo-top
19.00 Wieczorynka: Siostrzeńcy Kazora Donalda
19.30 Wiadomości
20.05 „Dekalog — jeden” — film fab. prod. pol. Reż. K. Kieślowski
21.00 Siedem dni: Świat
21.30 Sport
22.10 Filmy Józefa Błachowicza: „Gorzki smak wody”, „Lina”
22.25 Jutro w programie

PROGRAM II

9.45 Przegląd tygodnia (dla niesłyszących)
10.20 Film dla niesłyszących: „Dekalog — jeden” — film fab. prod. pol.
11.15 Peryskop — wojskowy program public.
11.45 Jutro poniedziałek
12.15 Powitanie
12.20 Polska Kronika Filmowa
12.30 100 pytań do...
13.10 Teatr ekspresji
13.25 Kisiel — opowieści o życiu
13.40 Kino rodzinne: „Chata wuja Toma” (1) — film fab. prod. USA
14.40 „Jest” — film dok.
15.45 Podróże w czasie i przestrzeni: Wędrowki ludów nad Pacyfikiem (6) — serial prod. australijskiej
16.45 Być tutaj — gawęda prof. Wiktorina Zina
17.00 Studio sport
17.30 Bliżej świata
19.00 Wywiady Ireny Dziedzic
19.30 Galeria „Dwójki”: Grupa 21
20.00 Studio sport: Piłka w grze
21.00 Program poetycki
21.30 Panorama dnia
21.45 „Wojna i pamięć” (15) — serial prod. USA
22.45 Akademia wiersza: „Przypowieść” Krzysztofa Kamila Baczyńskiego
22.50—22.55 Komentarz dnia

Poniedziałek

11 GRUDNIA
PROGRAM I

16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Luz — program nastolatków
17.15 Teleexpress
17.30 Gorące linie
17.55 Wędrowki dalekie i bliskie: „Salto del Angel” — film dok. prod. franc.
18.30 Mieszkać — wszechnica budowlana
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: Kot Leopold i piraci
19.10 W Sejmie i Senacie
19.30 Wiadomości
20.05 Teatr Telewizji: William Szekspir „Ryszard III”, Reż. Feliks Falk.
22.45 Sport
22.55 Dt — echa dnia
23.15 Język francuski (8)

PROGRAM II

16.55 Język angielski (9)
17.25 Program dnia
17.30 Antena „Dwójki” na najbliższy tydzień
17.45 Ojczyzna - polszczyzna: Wsiąść do pociągu byle jakiego
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 „Kongres Kultury Polskiej 1981” — program dok.
19.30 Koncert w kluczu basowym — 80-lecie prof. Wiktora Gadzińskiego
20.00 Auto-Moto-Fan-Klub
20.30 Osądźmy sami
21.15 Rozmowy o cierpieniu
21.30 Panorama dnia
21.45 Biografie: „Rubens — malarz i dyplomata” (4) — serial prod. belgijskiej
22.40 Komentarz dnia

Wtorek

12 GRUDNIA
PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Oddajcie mi dziecko” cz. I — dramat obycz. prod. USA
11.00 Domator
16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Dla dzieci: Tik-Tak
16.50 Kino Tik-Taka: „Cudowna podróż” — serial animowany prod. austriackiej
17.15 Teleexpress
17.30 Spożyczenia
17.15 Klinika Zdrowego Człowieka
18.15 Program public.
19.45 10 minut
19.00 Dobranoc: Przygody kocurka Damiana
19.10 Od A do Z
19.30 Wiadomości
20.05 „Oddajcie mi dziecko” (1) — dramat obycz. prod. USA.
21.40 Sport
21.50 Racje — program dok.
22.20 Ring Rock In Gospel — program rozrywkowy
22.35 Dt — echa dnia
22.55 Język rosyjski (9)

PROGRAM II

16.55 Język angielski (9)
17.25 Program dnia
17.30 Klub ludzi z przeszłością
18.00 Program lokalny
18.30 Modlitwa wieczorna — Z Sanktuarium Matki Boskiej Piekarskiej
18.50 Czarno na białym — przegląd pki
19.30 Kolorowy zawrót głowy — magazyn narcyjski
20.00 „Polacy” — „Lebenstein” — film dok.
20.45 Zakręt — program kabaretowy
21.00 W kręgu sztuki: „Dzieje fotografii” — serial dok. prod. ang.
21.30 Panorama dnia
21.45 „Karczma na bagnach” — film TVP
22.55 Komentarz dnia

Środa

13 GRUDNIA
PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Panny” — film TVP. Reż. Wojciech Sawa.
10.25 Domator
16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: SOS — sami o sobie
16.50 Dla dzieci: Cojak — teleturniej
17.15 Teleexpress
17.30 Raport — wydanie specjalne
17.55 Telewizyjny informator wydawniczy
18.15 Dawniej niż wczoraj
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc: Porwanie Baltazara Gąbki

19.10 Oferty Pegaza
19.30 Wiadomości
20.05 „Bez końca” — film prod. TVP. Reż. Krzysztof Kieślowski.
21.50 Sport
22.00 8 lat później — program dok.
22.40 Dt — echa dnia
23.00 Język angielski (9)

PROGRAM II

16.55 Język francuski (8)
17.25 Program dnia
17.30 Wiem wszystko — teleturniej
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Śpiewnik domowy i uliczny
19.30 Finlandia — program public.
20.00 Album muzyczny — Karol Stryja
20.35 Czesław Miłosz: O przestrzeni
21.00 Noc generała — spotkanie z Gabrielem Meretikiem
21.30 Panorama dnia
21.50 „W labiryncie” — serial TVP
22.20 Telewizja nocą
23.05 Komentarz dnia

relacje

ADRES REDAKCJI

20-029 LUBLIN, UL. M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ 2

20-950 LUBLIN, SKR. POCZT. 231

TELEFONY

• 215-57 • SEKRETARIAT RED. NACZELNY
• 205-34 • SEKRETARZE REDAKCJI
• 202-91 • 208-59 • 233-88 • DZIENNIKARZE

ZESPÓŁ

EWA CZERWIŃSKA (II SEKRETARZ REDAKCJI) • MIROSLAW DERECKI • TERESA DRAS (REDAKTOR TECHNICZNY)
ZBIGNIEW DZIECIOLEK • WIESŁAW HORABIK • VIOLETTA KRASNOWSKA • HENRYK PAJAK • ANDRZEJ W. PAWLUCZUK
WALDEMAR PIASECKI • FRANCISZEK PIĄTKOWSKI (REDAKTOR NACZELNY) • MACIEJ PODGÓRSKI (SEKRETARZ
REDAKCJI) • WALDEMAR STĘPIEN (FOTOREPORTER) • LESZEK WIŚNIEWSKI (Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO)
IZABELLA WŁAZŁOWSKA (WSPÓŁPRACOWNICA) • MICHAŁ ZIELIŃSKI • JANUSZ WRONA (WSPÓŁPRACOWNIK) • KRZYSZTOF LAMCH
(WSPÓŁPRACOWNIK) • BARBARA CABAN (WSPÓŁPRACOWNICA) • BARBARA JASTRZĘBSKA • TERESA STERLUS (SEKRETARZ)
ANNA WOJTCWICZ (WSPÓŁPRACOWNICA) • GRZEGORZ BORZĘCKI

WYDAWCA

Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch”, ul. Jasna 6, 20-077 Lublin, tel. 255-30.

DRUK

Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.

Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.

Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW Prasa Książka Ruch i urzędy pocztowe. Nr indeksu: 37409 PL ISSN 0660-8830

Ogłoszenia przyjmują: redakcja oraz Biuro Ogłoszeń i Reklam, 20-950 Lublin, al. Racławickie 1, tel. 214-23, 200-61 w. 343.

Zam. 1686, 27.11.89. B-4.

AD VOCEM

DO SŁOWA

DZIESIĄTY tekst pod tym hasłem skierania do pewnych refleksji i wyjaśnień. Co właściwie znaczy „ad vocem”? W pierwszym odcinku („Relacje” nr 38) było wprawdzie „Od vocem”, czyli wyszło trochę jakby od rzeczy („od rem”?) niż do rzeczy (ad rem), ale to z winy chochlika drukarskiego, podobno zawsze towarzyszącego debiutem (ale i na szczęście!).

Poprawne więc „ad vocem” oznacza uwagę, komentarz „do słowa” lub szerzej: gdy słyszę (czytam) to słowo, przychodzi mi na myśl... A że często przychodzi na myśl skojarzenia antyczne, stąd sporo i łaciny.

Dlaczego właśnie antyczne? Po pierwsze (primo) dlatego, że starożytność jest skarbnicą wiedzy o człowieku. Tam przecież zrodziło się wyznaczenie humanisty: Homo sum, humani nihil a me esse puto — Jestem człowiekiem i sądzę, że nic co ludzkie nie jest mi obce. Po wtóre (secundo), nie ma przesady w spotykaniu często stwierdzeniu, iż cywilizacja europejska opiera się na trzech starożytnych pagórkach: Akropolu, symbolizującym sztukę i filozofię grecką; Kapitolu, oznaczającym kulturę prawną; oraz na Golgotcie — symbolu początków chrześcijaństwa.

Dzisiaj znajomość antyku, a zwłaszcza języka łacińskiego, jest nikła, chociaż łacina ma w kulturze i tradycji historycznej Polski swoje trwałe i niebiałe miejsce. I jest to sprawa dosyć wstydliva, bo — jak pisał Ciceron — nie tyle znajomość łaciny przynosi zaszczyt, ile raczej powodem do wstydu jest jej nieznanostwo. Dosadniejsze było średniowieczne przysłowie szkolne: „Kto nie umiał po łacinie, musiał pasać świnię”. Dzisiaj, zwłaszcza tu i teraz (Hic et nunc), świnię są jednak o wiele ważniejsze niż łacina.

„O tempora, o mores” — westchnąłby znów Ciceron, a to znaczy: „Cóż za czasy i co za obyczaje!”

Arcus M.

POLSKA to taki dziwny kraj, w którym aż rói się od nawiedzonych i proroków. Oni zawsze wiedzą najlepiej, co potrzebne jest narodowi do szczęścia.

Nie tak znowu dawno jeden z nich usiłował zarzucić nas chrupiącymi bułeczkami i uświadamiał robotnikom, że zjadają o pół jajka za dużo. Robotnicy, jak zwykle, nie stanęli na wysokości zadania, palaszując beczelnie jajka w całości. W efekcie gospodarka runęła, nie wytrzymując jajecznego kryzysu, a specjalista od świeżego pieczywa i kurzej ekonomii ewakuował się za ocean.

Zycie jednak nie znosi próżni. W 13 numerze „Tygodnika Gdańskiego” Mieczysław Sokółowski roztacza przed rodakami swoją wizję zbawienia Polski. Pisze tak: „Nasz kryzys owocuje w świecie i w kraju nastrojem współczucia i chęci pomocy. Poszukuje się rozwiązań ekonomicznych i społecznych, udziela się rad i wskazówek. Chciałbym do nich dołączyć również mój pomysł, który jest prosty, nie wymaga nakładów finansowych i da się zastosować od zaraz. Proponuję bowiem, abyśmy wszyscy w Polsce mówili sobie po imieniu — niezależnie od wieku, płci i stanowiska”.

Pijemy zatem ogólnonarodowego brudzia i... mów mi: Wojciech.

Zbiorowe „tykanie”, jak twierdzi pan Sokółowski, ma być rodzajem społecznej psychoterapii, która pomoże nam „wylubić odruchy wrogości i nieprzyjazne”, a co najważniejsze, „zaistnieć twórczo”.

Hm. Cel zbożny i godzien ze wszech miar poparcia. Żywię jednak obawy, które mimo wizjonerskiego entuzjazmu dostrzega również gdański felietonista: „Zapewne niektóre środowiska zjeżdżą się na myśl o splaszczaniu etykiety. Przewiduję opory w »tykaniu« duchowieństwa i profesorów”. Właśnie! Już sobie wyobrażam moją cioteczną babkę, jak mówi do księdza kanonika: „Felicjanie, przyjdę w niedzielę do spowiedzi”, albo: „Józek dawał mi komunię”.

O ile jednak udałoby się pokonać tę przeszkodę (w co bardzo wątpię, a dlaczego, nie muszę chyba nikomu tłumaczyć), to co zrobić z Panem Zastępów? Jego też „tykać”? Jakos nie po chrześcijańsku i nie wiem, czy ktokolwiek by się na to zgodził.

Trzeba by też poczynić znaczne zmiany w literaturze polskiej, skoro forma „pan” miałaby zniknąć z naszego języka. Powiedzmy, od jutra nie ma już „Pana Tadeusza”, „Pana Geldhaba”, „Pana Wołodyjowskiego”, „Pana Twardowskiego”, bo jak równość, to równość. We wszystkim i ze wszystkimi. Rąsia, buźka i w ogóle kochajmy się.

Nic z tego, panie Mieczysławie! Wprawdzie nie jestem przeciwnikiem mówienia sobie po imieniu, jednakże znam przynajmniej kilka osób w Polsce, z którymi nie tylko nie chciałbym być na „ty”, ale i nie podałbym im ręki (już ja wiem, dlaczego). Powiem

MÓW MI: WOJCIECH

Zbigniew Dzieciołek



Rys. Lucjan Furmag

więcej. Pańskie argumenty, że gdzie indziej „tykanie” stało się powszechnie przyjętą formą, nie przekonują mnie, bowiem co kraj, to obyczaj. „To co jest dobre dla Angielczyka, nie musi być dobre dla Polaka”, jak powiedział książę Sapieha, protestując w Sejmie przeciwko projektowanemu małżeń-

stwu Władysława IV z palatynówną neuburską.

Sprawa nie warta byłaby „nagłaśniania”, gdyby nie fakt, że wizję „poimiennej” Polski pan Sokółowski chce urzeczywistnić odgórnie: „Co zaś tyczy się wysuniętej na wstępie propozycji: przyjęcie jej do powszechnego stosowania wymaga decyzji na najwyższym forum przedstawicielskim oraz jej publicznego ogłoszenia. Zeby nie było wątpliwości i ceregieli!”.

No proszę! Ogłaszano już z wyżym obowiązkowe dostawy i przewodnią rolę partii. Jak widać, przyszła kolej na tytułaturę. Wyda się zatem odpowiednią ustawę albo zrobi stosowny zapis w konstytucji i będzie po kłopotach.

Można i tak. Tyle że to już jakby nie te czasy i metody mówiąc delikatnie, nieco przestarzałe, o czym zdaje się nie wszyscy chcą pamiętać.

Jeżeli tak ma wyglądać prawdziwa wolność, to ja proszę o azyl polityczny w Rumunii.

CZEKAJ TATKA
LATKA

Henryk Pająk

JAK tak dłużej potrwa, to z powodu Katynia po raz drugi może dojść do zerwania stosunków dyplomatycznych, a stroną rezygnującą z tych stosunków znów nie będzie strona polska. I znów Trybunał Norwimski nie będzie miał nic do roboty w tej sprawie. A czas leci, Niemcy się łączą i trzeba chyba pomyśleć o nowym składzie Trybunału. To już prawie pół wieku, a temat wciąż nietknięty.

Jest to taktyka wypisz wymaluj wzięta z nieugiętej maksyminy pewnego wiarołomnego męża: choćby cę żona przyłapała gorzej niż in flagranti, bo na samym szczycie upadku, to nie upadać na duchu i zaklinać się, że jeszcze nie zdążyłeś włożyć!

Alé nie mieszajmy tragedii z komedią i zobrazujmy to inaczej: tysiące polskich oficerów — do piasku, a samemu łeb w piasek na pół wieku, choć po sprawiedliwości bożej i ludzkiej powinno być akurat odwrotnie!

W połowie listopada odnowionym, lecz zgorzkniałym dziennik telewizyjny pokazał przez cenzurę zmasakrowany, świeżutki tekst czyjejs książki o Katyniu, a próba rozmowy na ten temat z którymś z szefów Urzędu zakończyła się bezpłciową konwersacją ze strażnikiem tej Spizowej Bramy. Więc ja pytam po raz kolejny i uroczyście: kto w końcu rządzi tym krajem i w tym kraju, czyli w środku i na zewnątrz?

Istnieje co prawda pewien gatunek międzynarodowych łajdactw, wobec których najgłośniejszym krzykiem protestu jest milczenie, ale Katyn do nich

nie należy. Inne łajdactwa ustawowo odsłania się dopiero po pięćdziesięciu latach. Czy czekamy na pięćdziesięciolecie Katynia?

Historia drugiej wojny światowej zna jeszcze dłuższe kwarantanny, na przykład rozmowy Rudolfa Hessa z Anglikami po jego wariackim locie nad Morzem Północnym. Lot i rozmowy nie były tak zupełnie wariackie, skoro Anglicy zdecydowali, że ich treść zostanie ujawniona dopiero po siedemdziesięciu pięciu latach.

Jeżeli więc mamy czekać, aż laskowi katyńskiemu stuknie pół wieku, i dopiero potem dowiemy się oficjalnej prawdy, to ktoś może to uznać za tempo wręcz ekspresowe w porównaniu ze sprawą Hessa, ale porównywanie sprawy Hessa z dramatem kilkunastu tysięcy polskich oficerów to także mieszanie komedii z tragedią. W każdym razie daje się wyraźnie odczuć to urzędowe czekanie na półwiecie. Prasa polska, publikacje podziemne i nadziemne postawiły już nad tą „tajemnicą” tyle kropek na „i”, tak się w tym temacie wystrzelaly, że może nie dziwić panująca ostatnio wokół niego cisza, zadyszka, a może rezygnacja z dalszej walki, jakby wszyscy chcieli powiedzieć — myśmy zrobili swoje, teraz niechże wreszcie odezwą się komisje!

Zalóżmy, że ta puszcza Pandory zostanie wreszcie otwarta w tym oficjalnym terminie. Ale rodzi się pytanie — w jakim terminie? Stanie się to w 1990 czy w 1991 roku? A może jeszcze o rok później! Jeżeli w marcu przyszłego roku, to ostatecznie można pocze-kać jeszcze te kilka miesięcy. Czeka-

liśmy pół wieku, poczekamy cztery miesiące, ale jeżeli minie kwiecień i nadal będzie panować cisza, wtedy o-trzymamy odpowiedź pośrednią, że nic z tego, mówcie sobie i piszcie co chcecie, a Katyn zrobili Niemcy.

No właśnie — a co na to wszystko Niemcy? Wygląda na to, że im wystarczy pewność, że my mamy pewność. A może by tak zagrozić im zerwaniem stosunków dyplomatycznych, jeżeli wreszcie nie wypowiedzą się konkretnie, oficjalnie i ostatecznie, co sądzą o Katyniu? W końcu przez 40 lat cięż nad nimi straszliwe odium bezprzykładnego w historii nowożytnych wojen wymordowania kilkunastu tysięcy oficerów pokonanego państwa, elity wojskowej i cywilnej całego narodu polskiego, więc robienie porozumiewawczych min to o wiele za mało dla Polaków, dla Niemców, dla całego cywilizowanego świata.

Kto i dlaczego wymyślił półwieczną karencję dla tajnych archiwów, w tym dla takich łajdactw, jak rzeń tysięcy oficerów ościennego państwa? Dlaczego nie 40, dlaczego nie trzydzieści lat? Można przypuszczać, że ma to stanowić parasol ochronny nie tyle dla tajemnic, co dla zbrodniarzy. Wychodzi się z założenia, że główni sprawcy w czasach zbrodni nie mogli być młodszy niż trzydziestoletni. Po pięćdziesięciu latach minęli osiemdziesiątkę i więcej, pomarli, choć osobiwa sprawiedliwość ludzka czy boska bywa przeważnie nierzadka i zbrodniarze zwykle dożywają długich lat, jeżeli ich przedtem nie rozłupali ich pojętni i liczni uczniowie.

I tym sposobem na sądzie boskim czy ludzkim stają o pół wieku później niż ich ofiary. Wszystko wtedy jest historia, zbrodnie i cierpienia tysięcy są znumifikowane, wydezynfekowane przez czas. Gdybyśmy dziś spotkali kłóregoś z wodzów tatarskich, z tych, co doszli aż do Legnicy, siejąc zgłiszca i śmierć, pewnie byśmy wdali się z nimi w pobieżliwą pogawędkę, zorganizowali mu cykl odczytów o tym, jak to doszedł aż pod Legnicę. Towarzysz Sierow ciesz się dobrym zdrowiem. Jeszcze nic straconego...

FAJERKA
NA SMUGI

AKCJA oszczędnościowa lubelskiego MPK rozwija się pomyślnie.

Czas likwidowania i przywracania przystanków mamy już jakby za sobą i po staremu trudno się polapać: stanie czy nie stanie. Na rozkłady jazdy nikt już oczywiście od dawna nie zwraca uwagi, tym więcej że kursy „wypadają” jeden po drugim. Odległe o siedem kilometrów od Lublina Smugi mogą się połączyć z metropolią za pomocą czerwonego autobusu tylko trzy razy dziennie, przez pięć dni w tygodniu. W sobotę i niedzielę w żadnym wypadku — nie. Słusznie, oszczędność ewidentna, a chłop przecie do miasta pchać się nie musi. Jeszcze w niedzielę!

Zeby było śmieszniej, bilet MPK do przystanku Smugi z miasta kosztuje 360 złotych. Bilet PKS do pobliskiego Krasienina z dworca Głównego (15 km) — 200 złotych. I kto tu co zrozumie? Cena zależna od koloru?!

Znajomy posiadacz ziemski ze wsi Smugi utrzymuje, że przed wojną mieszkał tam człowiek, nie całkiem mądry, który do Lublina udawał się bosy i z... fajerką na zagiętym drucie. Ten pomysł mi się podoba, należy go szybko upowszechnić, rozdając lubnianom fajerki i odciążając w ten sposób umęczony tabor MPK. Będziemy sobie jeździć, gdzie nam się podoba, kiedy nam się spodoba i punktualnie. Czy aby wystarczy fajerek?

(WIL)